

S.3
Rozliczeń ciąg dalszy.
Po Zbigniewie Ziobrze czas
na Daniela Obajtka

S.16
Alfabet niepodległości.
Jak po 1918 r. zbudowano
II Rzeczpospolitą

S.14
Grzegorz Turnau o miłości
i o tym, co potrzebne
i najważniejsze w życiu

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682



POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Prisnąć!



Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

BT/CC

Poniedziałek, 10.11.2025 • Nr 90 (2497) • Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)

W piątek magazyn Puls

● Dr Piotr S. Kowalczyk: Depresja nie jest lenistwem. Najbardziej rani unieważnianie ● Były marszałek Marek Borowski o „szefach” Sejmu

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Janusz Michalczyk
publicysta



JAK TO JEST Z ODKUPIENIEM?

nie jest dobra wiadomość dla Stolicy Apostolskiej. Jej najnowszy dokument zostanie zapewne w naszym kraju całkowicie zignorowany. W nocie doktrynalnej o tytułach maryjnych, która została właśnie opublikowana przez Dykasterię Nauki Wiary, a wcześniej zaaprobowana przez papieża Leona XIV, przestrzega się wiernych, żeby lepiej nie używali wobec Matki Boskiej takich określeń, jak „współodkupicielka” czy „pośredniczka wszystkich łask”. Dlaczego? Bo może to sugerować, że bez jej poparcia prosby kierowane do Boga okażą się nieskuteczne. Sprawa nawet dla teologów jest mocno zagmatwana, a co dopiero mówić o zwykłych wiernych. U nas rzecz komplikuje jeszcze nadzwyczaj rozbudowany kult maryjny, bo przecież mówimy o Królowej Polski, w dodatku terminu „współodkupicielka” swobodnie używał Jan Paweł II. W komentarzach konserwatywnych katolików wręcz zarzuca się watykańskim urzędnikom, że prawdziwym celem wspomnianej noty jest ukłón w stronę protestantów w imię źle rozumianego ekumenizmu.

W pobożności ludowej rola Maryi zawsze była ogromna, ale warto przypomnieć, że dogmat o jej niepokalanym poczęciu ogłosił dopiero w 1854 r. papież Pius IX, zaś o wniebowzięciu w 1950 r. Pius XII. Ten ostatni akt spotkał się z entuzjastyczną reakcją słynnego myśliciela - Carla Gustava Junga, dla którego Kościół katolicki słusznie w ten sposób dowartościował kobiecość, równie ważną co męskość. Pobożność ludowa odwołuje się oczywiście do tradycyjnego modelu rodziny, w którym ojciec (mężczyzna) jest raczej kojarzony ze sprawiedliwością, natomiast domeną matki (kobiety) jest miłosierdzie. Dlatego pewne zamieszanie wniosły refleksje św. Faustyny o miłosierdziu Jezusa. W katolicyzmie nic nie jest proste, bo z jednej strony mamy Trójcę Świętą, a z drugiej model boskiej rodziny. Nie jest to wcale utrudnienie, a raczej źródło potęgi wiary, ponieważ każdy może sobie dopasować codzienną religijność do osobistych preferencji. Gdy chodzi o modlitwę w jakiejś intencji, katolik ma do wyboru nie tylko Chrystusa czy Matkę Boską, ale również setki niejako wyspecjalizowanych świętych. Zależy, co komu w duszy gra.

”

Brak podpisu prezydenta pod awansami na pierwszy stopień oficerski w ABW i SKW jest absolutnie nie do obrony. Od piątku tłumaczymy, że to fatalny i szkodliwy dla Polski pretekst do walki z rządem

Tomasz Siemoniak, minister koordynator służb specjalnych na X

WYBITNY METALURG: ALEKSANDER KRUPKOWSKI

dzisiaj chcę Państwu przedstawić człowieka, który był wybitnym uczonym i wybitnym inżynierem. Aleksander Waław Krupkowski studiował metalurgię jeszcze w okresie zaborów w Instytucie Politechnicznym w Petersburgu, a potem związał się z Politechniką Warszawską, która po wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. wznosiła działalność. Ale w roku 1923 został przeniesiony do formowanej od 1919 roku krakowskiej Akademii Górniczej (dziś AGH), gdzie rozwijał kompletną zawsze w stosunku do górnictwa metalurgię. Początkowo pracował jako adiunkt, chociaż doktorat obronił na Politechnice Warszawskiej dopiero w 1928 roku. Jednak bardzo dbał o podnoszenie kwalifikacji i w latach 1927-1928 odbył studia uzupełniające na Uniwersytecie w Lejdzie.

Jego kariera na Akademii Górniczej przebiegała bardzo dynamicznie: w 1930 roku został kierownikiem katedry, w 1937 r. uzyskał stanowisko

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



profesora zwyczajnego, a w latach 1936-1939 oraz po wojnie w latach 1945-1948 był dziekanem Wydziału Hutniczego AG.

Dotykając bolesnego okresu hitlerowskiej okupacji Polski, trzeba wspomnieć, że prof. Krupkowski został aresztowany w ramach barbarzyńskiego uwięzienia krakowskich profesorów w dniu 6.11.1939 roku (tak zwana Sonderaktion Krakau) i został zesłany do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, skąd wyszedł dopiero w lutym 1940 roku. Nie załamało go to i po powrocie do Krakowa uczestniczył w nauczaniu metalurgii w Technicznej Szkole Górniczo-Hutniczo-Mierniczej w Krakowie (dopuszczony przez Niemców do działalności), gdzie w sposób tajny kształcono także studentów

Akademii Górniczej, których promowano na inżynierów po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

W Akademii Górniczej najbardziej starano się rozwijać metalurgię żelaza i stali, bo takie były główne potrzeby śląskiego przemysłu, ale prof. Krupkowski szedł własną drogą i od początku zajmował się metalurgią metali nieżelaznych.

Jego pierwsza katedra (1930) nazywała się Katedra Innych Poza Żelazem Metali, ale nazwę tę zmieniono na Katedra Metali Nieżelaznych, bo to lepiej brzmiało. Obecnie na AGH tak się nazywa cały wydział, który mieści się w pawilonie A-2, a pawilonowi temu nadano imię profesora Krupkowskiego.

Profesor zajmował się intensywnie badaniami nauko-

wymi. Opublikował ok. 160 prac z zakresu naprężeń metali, pracował (obok etatu w AGH) w Instytucie Metali Nieżelaznych w Gliwicach i był członkiem PAN, wiceprezesa tej Akademii oraz także członkiem PAU. Instytut Podstaw Metalurgii PAN (w Krakowie) nosi także jego imię.

Profesor Krupkowski był bardzo otwarty na wszelką współpracę międzynarodową, więc między innymi nawiązał cenne kontakty z Institute of Metals, Iron and Steel Institute i Institute of Mining and Metallurgical Engineers w USA, z których Akademia Górniczo-Hutnicza korzysta do dziś.

Za swoje liczne zasługi zebrał ogromną liczbę nagród i odznaczeń. W szczególności został doktorem honoris causa AGH (w 1964 roku), podobny tytuł otrzymał od Akademii Górniczej we Freibergu (1961 r.), Order Odrodzenia Polski, Medal 10-lecia Polski Ludowej i mnóstwo innych.

To był naprawdę niezwykły człowiek!

ZJADŁEM PÓŁ OBWARZANKA, I ZDAŁEM SOBIE SPRAWĘ, ŻE...

ie... połowa centrum Krakowa (ta „mniejsza”) to tylko cztery ulice - Grodzka, Kanonicza, Poselska i Senacka. Ta trochę „większa”, północna połowa, ma ulic więcej niż dwadzieścia. Niby nic, a jednak dziwi, bo zawsze, w moich wieczornych spacerach dzieliłem sobie stary Kraków na pół i jak mi to równo wychodziło. Mam na myśli to, że od Bramy Floriańskiej do Placu Wszystkich Świętych było tak samo daleko i nieciekawie, jak z tego placu pod Wawel. I właściwie całe to Stare Miasto było tylko po to, żeby się dostać z okolic Dworca Głównego na Kazimierz, który był dzielnicą dużo ciekawszą. Co już, niestety, nieaktualne. Kazimierza, i do niego królewskiego traktu, nie ma już i nie będzie. Choćby

Tadeusz Płatek
publicysta



dlatego, że nie ma już takich prawdziwych, bajkowych królów. Mogą być jakieś tylko monarchie konstytucyjne. Nie ma już królewskich, chwiejnych po wiśniówce peregrynacji, bo w pewnym wieku dzielnice i zabytki we wszystkich miastach świata robią tak samo się nudne. Nie dlatego też, że się zepsuły, tylko że dużo ich widzieliśmy. Sama nawet wiśniówka medium być nie może.

Bardziej niż knajpy, my, ojcowie, zaczynamy doceniać piekarnie i delikatesy, w których po prostu nie ma pijanych

turystów, czy wo ogóle ludzi pijanych zbyt entuzjastycznie reagujących na to, co oczywiste, znane, od stuleci niezmiennie.

Elewacje, czyli przednie, widoczne z ulicy ściany krakowskich kamienic się przy tym zmieniały, dążąc od gotyku do raczej mniej szalonego wariantu wiedeńskiego historyzmu. A zresztą kto je tam wie po całym tym wielkim pożarze w połowie XIX wieku, w sumie nie tak dawno? Gdy idę więc teraz ulicą Grodzką, z dziecięcym wózkiem, po wieczornicy po-

święconej śmierci Elżbiety Pendereckiej.

Zamiast wiatru historii zalamującego się w pseudo renesansowych boniowaniach, widzę ściany - grzeczne tabliczki białej czekolady. Kiedyś bym w nich mieszkał - dziś bym raczej zjadł. Bo Kamienice w centrum Krakowa są odnowione, czyste i śmietankowe. Tak każe wolny rynek: by były czyste. Każe też konserwator zabytków - by były raczej kremowo-biało-czekoladowe, mimo, że to historyczna guzik prawda.

Krakowskie kamienice piękne są od zewnątrz i raczej brzydkie od wewnątrz. Gdybym więc wygrał na loterii sto milionów, to i tak nie rzuciłbym się na te kamienic czekoladki. Bo w końcu liczy się również wnętrze.

Karolina Wrońska

Premier Tusk kpi z akcji PiS. Ziobro na Węgrzech

Rozkręca się pisowska akcja „Murem za”. Lista się wydłuża. Niedługo za braknie im cegieł? - napisał w niedzielę szef rząd na platformie X.

Dzień wcześniej prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński opublikował apel o wsparcie dla byłego prezesa Orłenu, obecnie europoła PiS Daniela Obajtka, który 12 listopada ma być przesłuchany przez Prokuraturę Regionalną w Warszawie.

KO rozlicza PiS

Prawo i Sprawiedliwość prowadziło akcje solidarnościowe także dla innych polityków związanych z partią. W styczniu 2024 r. - po skazaniu prawomocnym wyrokiem za przekroczenie uprawnień w tzw. aferze gruntowej z 2007 r. i osadzeniu w więzieniu polityków tej partii Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika - PiS i wspierające ugrupowanie media organizowało protesty m.in. pod hasłem „Solidarni z Kamińskim i Wąsikim”.

W grudniu tego samego roku na warszawskich kładkach dla pieszych zawisły natomiast banery z napisem „Solidarni z Romanowskim”. Polityk usłyszał 11 zarzutów w sprawie Funduszu Sprawiedliwości. Romanowski



Zbigniew Ziobro jest na Węgrzech, nie wiadomo, czy i kiedy wróci do kraju

przebywa na Węgrzech, gdzie otrzymał azyl polityczny.

Wsparcie otrzymuje też poseł PiS Michał Woś, w przeszłości

również jeden z zastępców Ziobry w MS. Pod koniec października prokuratura skierowała akt oskarżenia wobec niego w spra-

wie przekazania 25 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości na zakup systemu Pegasus. Akcji poparcia dla byłego wiceministra towarzyszyło hasło „Murem za Michałem Wosiem”.

W minionym tygodniu, gdy Sejm zdecydował o uchyleniu immunitetu posłowi PiS Zbigniewowi Ziobro, w Warszawie pojawiły się billboardy z hasłem „Solidarni z ministrem Ziobro” i logo Stowarzyszenia Roty Marszu Niepodległości. Organizacją kieruje Robert Bąkiewicz, działacz narodowy współpracujący ze środowiskiem Jarosława Kaczyńskiego.

Ziobro zostaje na Węgrzech?

W piątek Sejm uchylił immunitet posłowi Prawa i Sprawied-

wości, byłemu ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrze w odniesieniu do wszystkich 26 zarzutów, które chce mu postawić Prokuratura Krajowa, w związku ze sprawą Funduszu Sprawiedliwości.

Istotą zarzutów wobec Ziobry jest „ustawianie” konkursów na wielomilionowe dotacje z Funduszu Sprawiedliwości. Według prokuratury, Ziobro miał działać w celu uzyskania korzyści majątkowych dla innych osób oraz korzyści osobistych i politycznych dla siebie, oraz że robił to wspólnie m.in. z jego zastępcami Marcinem Romanowskim i Michałem Wosiem oraz posłem PiS Dariuszem Matekalem.

Wykonanie postanowienia o zatrzymaniu Ziobry powie-

rzo funkcjonariuszom Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Polityka PiS nie ma w kraju, przebywa w Budapeszcie.

Polityk pojawił się w sobotę na antenie Radia Maryja. - W tej chwili wszystkiego o swoich zamierzeniach mówić nie będę, a o tym, jakie będę podejmował działania, będę informował w miarę upływu czasu - mówił.

Ziobro, pytany o to, czy rozważa możliwość ubiegania się o azyl polityczny, powiedział, że o tym, jakie będzie podejmował działania, będzie informował „w miarę upływu czasu”.

„Zapraszamy do Polski, Panie Ziobro” - tak całą sprawę skomentowała Koalicja Obywatelska na platformie X. PAP

REKLAMA

0011427101

Aż 90 podopiecznych Stowarzyszenia Pomocy Rodzinom z Wyszkowa wyjechało na wakacje dzięki akcji „Pociąg Marzeń”!

Udało się! - to najważniejsze i najbardziej satysfakcjonujące słowa, które wypowiedamy na zakończenie tej akcji. Kolejny bowiem raz udało się nam spełnić marzenia dzieci i młodzieży o letnim wyjeździe. O wakacjach, na które przecież co roku czekają z takim utęsknieniem. W podróż zabrał je „Pociąg Marzeń”, czyli inicjatywa powołana do życia przez Polska Press Grupę. W tym roku, Stowarzyszeniu Pomocy Rodzinom z Wyszkowa przekazaliśmy 6500 zł.

Mnóstwo sportu, nocny surwiwal i kreatywne zajęcia. Oj, działo się!

90 młodych ludzi, podopiecznych Stowarzyszenia Pomocy Rodzinom z Wyszkowa, wybrało się w tym roku na letni obóz sportowo-terapeutyczny. Są to dzieci i młodzież, których życie nie oszczędzało. Osoby z niepełnosprawnościami, osieroczone, pochodzące z rodzin dysfunkcyjnych. Takie, dla których nawet najkrótszy wyjazd wakacyjny jest czymś nieosiągalnym. Obóz odbył się w dniach 5-19

lipca w Świątkach na Warmii. Był również spływ kajakowy rzeką Łyną oraz nocny surwiwal! Jak wiadomo, tegoroczne lato nie rozpieszczęło piękną pogodą. Jednak nawet deszcz nie popsuł nikomu dobrego humoru. Uczestnicy wyjazdu nie mogli narzekać na nudę. Spotkali się siatkarzami, m.in. Pawłem Papke i Sebastianem Świdorskim, uczestniczyli w zajęciach siatkarskich prowadzonych przez trenerów i zawodników AZS Olsztyn. Mało tego! Mogli również zaznać prawdziwych siatkarskich emocji kibicując drużynie naszej

reprezentacji podczas towarzyskiego meczu pomiędzy Polską a Iranem. Było to możliwe dzięki uprzejmości Polskiego Związku Piłki Siatkowej. Jednak podopieczni nie spędzali czasu wyłącznie na zajęciach sportowych. Była także przestrzeń do rozwoju kreatywności w czasie zajęć artystycznych. Młodzież ozdabiała bawełniane torby wizerunkiem Mikołaja Kopernika oraz obrazami ciał niebieskich. Była to okazja do poznania techniki streetartu. Jeśli komuś było mało, mógł również spróbować swoich sił w tworze-

niu ikon oraz obrazków z gwoździ i włóczki. Na zajęciach tanecznych i teatralnych można było dać upust swoim emocjom. Na warsztat poszedł doskonale wszystkim znany „Mały Książę”. Nie zabrakło również muzyki - regionalny zespół folkowy dał przepiękny koncert. Przez cały czas trwania obozu do dyspozycji uczestników był zespół psychologów, którzy odpowiadali na każdą potrzebę pomocy. Można było porozmawiać zarówno o troskach i smutkach, jak i o radościach. Były również zajęcia z dogoterapii z kudłatymi

terapeutami o imionach: Enzo, Zuko i Duke. Obóz był dla podopiecznych Fundacji odskocznią od codziennych zmartwień. Mogli choć na chwilę zaznać beztrudności, śmiać się do rozpuku, spędzać czas w pogodnej i pełnej czułości atmosferze. A ich uśmiechy i szczęście to dla nas najwspanialsze podziękowanie i dowód na to, że akcja „Pociąg Marzeń” ma sens.

Dzięki Wam nasz pociąg nigdzie by nie ruszył

Akcja opiera się na prostym przekazie: bez zaangażowania

partnerów biznesowych projekt pozostałby jedynie piękną ideą. Firmy, które zdecydowały się wesprzeć inicjatywę finansowo, symbolicznie „dokładały wagony” do naszej lokomotywy. W zamian za swoje wsparcie otrzymywały ekspozycję swoich logotypów na łamach tytułów prasowych i serwisów internetowych Polska Press Grupy. Kolejny rok z rządu ochoczo włączyliście się do naszej akcji. I to dzięki Wam, kolejny raz spełniliśmy marzenia. Te dziecięce uśmiechy są też dla Was!

PARTNERZY OGÓLNOPOLSCY TEGOROCZNEJ AKCJI:



PiS chce przejąć od narodowców Marsz Niepodległości w stolicy

Jak co roku ulicami Warszawy 11 listopada przejdzie Marsz Niepodległości. Tym razem swój udział zapowiedzieli prezydent Karol Nawrocki i prezes PiS Jarosław Kaczyński

Anna Nagel

Spotkajmy się wszyscy, jak co roku, 11 listopada, na Marszu Niepodległości w Warszawie. Do zobaczenia - zachęcił prezydent Karol Nawrocki w filmie opublikowanym w sobotę na X.

Oprócz prezydenta w marszu pójść politycy Konfederacji i PiS. Prezes stowarzyszenia Marsz Niepodległości Bartosz Malewski pytany o uczestnictwo w marszu sił politycznych odparł, że organizatorzy nie wystosowali bezpośrednich zaproszeń do polityków czy konkretnych ugrupowań. Politycy Konfederacji w ostatnich tygodniach szeroko zachęcali do uczestnictwa w Marszu Niepodległości. Robili to m.in. jej liderzy, Sławomir

Mentzen oraz Krzysztof Bosak. Do organizatorów wydarzenia należą działacze związani z Ruchem Narodowym, ugrupowaniem, któremu szefuje Bosak i które współtworzy wraz z Nową Nadzieją klub parlamentarny Konfederacji.

Szef klubu PiS Mariusz Błaszczak potwierdził w ub. tygodniu udział Kaczyńskiego w tegorocznym marszu. - Będziemy uczestniczyli w tym marszu, bo to nie jest marsz narodowców, tylko marsz polskich patriotów - podkreślił poseł. Biuro poselskie b. wiceszefa MS, posła PiS Marcina Romanowskiego przebywającego od grudnia ub.r. w Budapeszcie organizuje w Biłgoraju wyjazd na Marsz Niepodległości do Warszawy.

Poseł KO Mariusz Witczak podkreślił, że Marsz Niepodle-

głości jest zawłaszczony przez jedno środowisko, choć widać też, że prezes Kaczyński swoją obecnością na marszu próbuje coś „ugrać” dla swojej partii. Zdaniem polityka do gry wkroczył też prezydent Karol Nawrocki, który będzie chciał być patronem marszu. Witczak ocenił, Marsz Niepodległości jest „pałką polityczną na swoich wrogów” i dopóki tak będzie, nie będzie wydarzeniem wspólnotowym.

Tymczasem prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podczas tegorocznej kampanii wyborczej nie wykluczył w rozmowie z liderem Nowej Nadziei Sławomirem Mentzenem swojej obecności na Marszu Niepodległości.

W zamieszczonym w w internecie filmie Trzaskowski zaznaczył, że nie była to twarda dekla-

racja jego udziału w marszu. - Mówiłem o tym, że może kiedyś zostaną spełnione pewne okoliczności, kiedy wszyscy będziemy mogli razem pójść na Marsz Niepodległości. Nie wydaje mi się, by one zostały spełnione. Niestety sam Marsz Niepodległości to dalej impreza tylko jednego środowiska, a ja bym chciał, byśmy mogli świętować święto narodowe wspólnie - podkreślił prezydent stolicy.

Jednocześnie zaprosił na koncert „Wspólna Niepodległa” organizowany 11 listopada przed Muzeum Historii Polski w Warszawie. Dodał, że każdy powinien obchodzić święto narodowe w sposób, jaki uzna za stosowny. - Bezpiecznie, godnie i najlepiej bez szkód dla miasta - dodał.

PAP



Marsz Niepodległości od kilku lat przechodzi przez Warszawę 11 listopada stałą trasą

FOT. ALEKSY WITWICKI

AUTOREKLAMA

0011424660

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

do kupienia
także
w sieci

Netto 

MOTO
BOHATEROWIE
OTOMOTO

Kornak
MOTORS 

KORNAK-MOTORS.OTOMOTO.PL

**KORNAK MOTORS
TO BEZPOŚREDNI IMPORTER I DEALER AUT PREMIUM,
KTÓRY OFERUJE NIEPOWTARZALNE MODELE
DOPASOWANE DO OCZEKIWAŃ KLIENTÓW.**

*Zapewniamy kompleksową obsługę
– od sprowadzenia samochodu, przez naprawy i personalizację,
aż po pełne wsparcie posprzedażowe.*

*Naszą siłą jest doświadczenie, pasja do motoryzacji
i indywidualne podejście do każdego klienta.*



Posiedzenie Rady Bezpieczeństwa, na którym zapadła decyzja ws. prób atomowych. Tym razem Putin nie wystąpił w mundurze

PUTIN PLANUJE KOLEJNE DWA LATA WOJNY. I WCIAŻ STRASZY CAŁY ŚWIAT

Rosja od miesiąca robi postępy na froncie – teraz jest coraz bliżej zdobycia Pokrowska. Oczywiście ta ekspansja jest bardzo wolna i kosztuje wiele tysięcy żołnierzy, ale Kreml może mówić, że wygrywa w wojnie. Sytuacja gospodarcza Rosji daleka jest też od krachu, który wielu chciałoby widzieć. W efekcie Władimir Putin nie zamierza rezygnować ze swoich celów

Grzegorz Kuczyński

Ubrany w mundur wojskowy prezydent Rosji Władimir Putin spotkał się 26 października ze swoim ulubionym podwładnym, generałem Walerijem Gierasimowem, oraz innymi dowódcami rosyjskich sił zbrojnych. To miało na celu przekonanie rosyjskiej opinii publicznej, że armia osiąga postępy, oraz potwierdzenie zobowiązania do całkowitego zajęcia regionów Ługańska, Doniecka, Zaporoża i Chersonia.

Bitwa o Pokrowsk

Rosyjskie siły zbrojne dokonują poważnych postępów w rejonie miasta Pokrowsk w obwodzie donieckim. Być może uda im się zdobyć miasto podczas zimowej kampanii, ale koszty ludzkie będą wysokie – filmy przedstawiające zniszczone kolumny rosyjskie krążą codziennie w mediach społecznościowych.

Zdobycie Pokrowska zmusi Ukrainę do korzystania z dłuższej trasy północnej w celu zaopatrzenia linii frontu w tym obszarze. Jednak Pokrowsk to tylko miasto i podobnie jak Bachmut i Awdijiwka, inne miasta w regio-

nie, które Rosja stopniowo podbijała w ciągu ostatnich trzech lat, nie zapewni jej zwycięstwa w wojnie.

Za Pokrowskiem siły ukraińskie stworzyły silne wielowarstwowe linie obrony składające się z pól minowych, bunkrów, systemów artyleryjskich oraz dronów uderzeniowych i rozpoznawczych.

Rozejm nie urządza Putina

Putin nie może zaakceptować oferty prezydenta Trumpa dotyczącej zawieszenia broni na obecnych liniach frontu bez utraty twarzy w swoim kraju.

Po pierwsze, nie może uzasadnić ogromnej liczby ofiar śmiertelnych bez żadnych znaczących osiągnięć. Po drugie, nie spotka się z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, ponieważ wielokrotnie powtarzał Rosjanom, że Zełenski jest „nielegalny”. Wreszcie, bez kontroli nad całym Donbasem, bastionem obrony Ukrainy, nie może zrealizować swoich długoterminowych planów przejścia całej Ukrainy.

Putin chce kontynuować wojnę na Ukrainie przez kolejne

dwa lata, sprzedając ropę Chinom i Indiom (pomimo amerykańskich sankcji), importując sprzęt wojskowy z Chin i rekrutując tysiące najemników z Korei Północnej i innych krajów.

Rosyjska gospodarka jeszcze daje radę

Chociaż rosyjska gospodarka cierpi, rozmowy o jej upadku są przedwczesne.

Po pierwsze, Rosja ściśle kontroluje odpływ kapitału. Jest to umiejętnie regulowane przez prezesa Banku Rezerw Rosji Elwirę Nabiullinę. Kluczowe środki obejmują wymóg sprzedaży przez eksporterów części swoich dochodów w walucie obcej za ruble oraz ograniczenie możliwości wyprowadzania aktywów z kraju przez zagraniczne przedsiębiorstwa. Zadłużenie gospodarstw domowych i zadłużenie publiczne nie są nadmierne. Ostatnio Rosja poszukuje nowych inwestycji i transakcji kryptowalutowych z udziałem „przyjaznych krajów”.

Po drugie, Rosji nie można zablokować. Posiada ona ogromne zasoby naturalne, takie jak zboża, rybołówstwo, ropa naftowa i gaz ziemny. Ukraińskie

ataki na obiekty naftowe i przemysłowe nie zniszczą tych zasobów. Rosja po prostu przeniesie je dalej na wschód lub wykorzysta sojuszników, takich jak Gruzja i Tadżykistan, do rafinacji ropy naftowej i eksportu produktów rafinowanych do Europy lub z powrotem do Rosji. Kilka firm z siedzibą w Zjednoczonych Emiratach Arabskich handluje rosyjską ropą.

Reżim Putina trzyma się mocno

Wreszcie, wewnętrzne spory prawdopodobnie nie doprowadzą do obalenia reżimu Putina. Wszelkie objawy niezadowolenia są brutalnie tłumione. 22 września Organizacja Narodów Zjednoczonych poinformowała o alarmującym nasileniu represji, wykorzystujących sądy, tortury i przymusową psychiatrię do zwalczania dziennikarzy, przeciwników politycznych i działaczy antywojennych.

Nie chodzi tylko o represjonowanie przeciętnych Rosjan, ale nawet członków najbliższego otoczenia Putina, tzw. siłowników. Rosyjska prokuratura, pod kierownictwem Putina, aresztowała szereg urzędników

oraz kilku oligarchów i skonfiskowała ich majątki. Ostatnim z nich był sędzia Sądu Najwyższego Wiktor Momotow, który posiadał nieruchomości o wartości około 107 milionów dolarów. Niemniej jednak pojawiają się doniesienia o siłownikach zwracających się przeciwko sobie.

Sankcje i partnerzy Rosji

Sankcje naftowe to za mało – Putin określił amerykańskie sankcje wobec rosyjskich koncernów, które zostały nałożone dwa tygodnie po podobnych sankcjach europejskich, jako „nieprzyjazny akt wobec Rosji”. Większość ekspertów zgadza się, że nie zmienią one przebiegu wojny w perspektywie krótko- i średnioterminowej.

Sankcje nie powstrzymują Rosji przed kupowaniem i sprzedawaniem sprzętu wojskowego. Na przykład indyjsko-rosyjskie joint venture znane jako BrahMos zawarło umowę o wartości 155 milionów dolarów na produkcję naddźwiękowych pocisków przeciwokrętowych Onyks dla Indonezji.

Według Spectrum News Wietnam kupuje sprzęt woj-

skowy od Rosji na kredyt, w tym samoloty i czołgi, a następnie spłaca kredyt zyskami z Vietsovpetro, wspólnego przedsięwzięcia wietnamsko-rosyjskiego działającego na Syberii. Chiny nadal kupują objętą sankcjami ropę i gaz od Rosji oraz dostarczają Rosji broń i sprzęt, a także komponenty podwójnego zastosowania (wojskowego i przemysłowego).

Rosja grozi próbami broni jądrowej

Minister obrony Rosji Andriej Biełousow podczas posiedzenia stałych członków Rady Bezpieczeństwa zaproponował prezydentowi Władimirowi Putinowi natychmiastowe rozpoczęcie przygotowań do prób jądrowych na archipelagu Nowa Ziemia.

Biełousow oświadczył, że testy będą odpowiedzią na działania Stanów Zjednoczonych. Minister twierdzi, że USA konsekwentnie wycofuje się z umów dotyczących redukcji i ograniczenia zbrojeń, a także pracują nad stworzeniem nowej międzykontynentalnej rakiety z głowicą nuklearną. W odpowiedzi Putin polecił Ministerstwu Spraw Zagranicznych, Ministerstwu Obrony, służbom specjalnym i agencjom cywilnym przedstawić propozycje dotyczące możliwości przygotowania się do testów broni jądrowej.

Pod koniec października prezydent USA Donald Trump ogłosił, że Stany Zjednoczone „natychmiast” zaczną testy broni jądrowej „na równi” z innymi krajami. Później, w wywiadzie dla CBS News, Trump powiedział, że „inne kraje przeprowadzają testy” i nie chce, aby Stany Zjednoczone były „jedynym krajem, który nie przeprowadza testów”.

- Rosja przeprowadza testy, Chiny przeprowadzają testy, ale nie mówią o tym. My też będziemy przeprowadzać testy, ponieważ oni przeprowadzają testy, a inni też. I oczywiście Korea Północna przeprowadza testy. Pakistan przeprowadza testy - stwierdził Trump.

Putin straszy Wunderwaffe

Wcześniej Władimir Putin ogłosił, że Rosja przeprowadziła testy rakiety Buriewiestnik i podwodnego aparatu Posejdon z napędem jądrowym. W odpowiedzi Trump stwierdził, że Putin „powinien zająć się zakończeniem wojny, która trwa już prawie cztery lata, a nie testami rakiet”.

Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow oświadczył, że testy Buriewiestnika i Posejdona „w żadnym wypadku nie są testami jądrowymi”.

Stany Zjednoczone nie przeprowadzały testów jądrowych od 1992 roku, Rosja - od 1990 roku, a Chiny - od 1996 roku.

Jest jasne, że Putin zakończy wojnę na Ukrainie tylko wtedy, gdy poniesie poważną porażkę na polu bitwy lub jego reżim zostanie obalony.

KAŻDY Z NAS MOŻE ZNALEŹĆ SIĘ PO TEJ DRUGIEJ STRONIE I CZEKAĆ NA PRZESZCZEP NARZĄDU

- Praca jest odpowiedzialna i obciążająca psychicznie, ale myślę, że najtrudniejszy jest kontakt z rodzinami potencjalnych dawców, z ich stresem i cierpieniem
- mówi Sebastian Wiślicki, łódzki lekarz, który od 18 lat pracuje jako koordynator do spraw przeszczepów i rozmawia z rodzinami pacjentów, od których lekarze mają pobrać narządy do transplantacji

Liliana Bogusiak-Jóźwiak

Jak wygląda rozmowa z rodziną pacjenta ze stwierdzoną śmiercią mózgu?

Rodzina jest już uprzedzona przez lekarza o tym, w jakim stanie jest ich bliski. Wiedzą, że wysunięto takie podejrzenie i trwa diagnostyka. Często zdają sobie sprawę, że będziemy z nimi rozmawiać o transplantologii. Rozmawia z nimi lekarz z oddziału intensywnej terapii, który bierze udział w orzekaniu o śmierci mózgu oraz koordynator transplantacyjny.

Dlaczego ludzie nie wyrażają zgody na pobranie narządów?

W polskim prawie chodzi przede wszystkim o wolę zmarłego za życia. Pracuję jako koordynator ponad 18 lat i wydaje mi się, że świadomość społeczna jest coraz większa. Dzięki różnym akcjom medialnym ludzie wiedzą, że są sytuacje, gdzie po rozpoznaniu śmierci mózgu chorego uznaje się za zmarłego, pomimo że jest podłączony do monitora, bije jego serce, jest ciepły i ma naturalny kolor, chociaż często tę temperaturę ciała musimy już na tym etapie utrzymywać sztucznie, a oddech jest zastąpiony przez maszynę. Jest odsetek społeczeństwa, który nie wyraża zgody i zdecydowanie się sprzeciwia, najczęściej nie uzasadniając swojej decyzji. Ludzie mówią „nie, bo nie”, chcą pochować swojego bliskiego w całości.

W jaki sposób staracie się przekonać rodziny?

W tej chwili w całym kraju około 1800 osób czeka na przeszczep narządu i dodatkowo ok. 3000 na przeszczep



Jako biorców w pierwszej kolejności kwalifikuje się pacjentów, którzy jeśli nie dostaną przeszczepu w krótkim czasie, to umrą – mówi Sebastian Wiślicki

rogówki. Przy niewydolności nerek pacjenci mają czas, mogą się dializować, ale przy niewydolności wątroby np. po zatruciu grzybami, przy niewydolności serca czy płuc często są w stanie zagrożenia życia i tylko pilny przeszczep może im to życie ocalić. Jako biorców w pierwszej kolejności kwalifikuje się właśnie pacjentów, którzy jeśli nie dostaną przeszczepu w krótkim czasie, to umrą i żadne urządzenie medyczne nie będzie w stanie im życia uratować. To jest ten kluczowy argument, którego używamy, którego używamy, którego używamy, wśród osób oczekujących na przeszczep rogówki. U czę-

ści z nich jeśli szybko nie wykona się transplantacji, mogą stracić wzrok na zawsze. Ważnym argumentem jest również to, że Kościół katolicki jest za transplantacjami - nie zabieracie narządów do nieba, one są potrzebne tutaj na ziemi.

Czy zdarza się, że rodzina zgadza się na pobranie narządów z wyjątkiem np. serca?

Tak. W swojej praktyce kilka razy spotkałem się z taką prośbą, w naszej kulturze serce często ma szczególne znaczenie jako „dom duszy”, w takich przypadkach szanujemy prośbę rodziny.

Co w przypadku, kiedy jeden z członków rodziny jest za pobraniem, a drugi zdecydowanie się temu sprzeciwia?

Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że w polskim prawie chodzi przede wszystkim o wolę zmarłego za życia. W takim przypadku prosimy, żeby wszyscy brali to pod uwagę. Jeśli mamy czas, to dajemy rodzinie trochę czasu, żeby przemyśleli tę decyzję, oswoili się z tą sytuacją. Niekiedy kilka godzin wystarczy, żeby bliscy otrząsnęli się z szoku i bardziej racjonalnie mogli podjąć decyzję. Choć trzeba tutaj powiedzieć, że nie zawsze mamy ten czas. W chwili, gdy mózg obumiera

dość szybko dochodzi do dezintegracji neurohormonalnej i całego organizmu. Układ krążenia, choć wspomagany farmakologicznie, działa coraz gorzej i serce w każdej chwili może przestać bić, co uniemożliwi pobranie narządów. Zależy nam, żeby rodzina zgodnie podjęła decyzję. Życie toczy się dalej i nie powinno to być na przyszłość powodem kłótni, wzajemnych pretensji czy rozpadu relacji rodzinnych. Działamy po dobrej stronie.

Ile osób mogą uratować pobrane narządy od osoby ze stwierdzoną śmiercią mózgu?

Policzmy. Serce, nerki (każda do innego biorcy), wątroba, płuca, trzustka - często przeszczepiana jednocześnie z jedną nerką osobom, które mają uszkodzone nerki w wyniku cukrzycy. Należy pamiętać, że od osoby zmarłej można pobrać również fragmenty skóry. Robi się to z części ciała, które będą niewidoczne kiedy zmarły będzie ubrany. Robi się to również po akceptacji rodziny. Skóra, wbrew pozorom, również ratuje życie i jest przeznaczona dla mocno poparzonych pacjentów z Siemianowic Śląskich. Niestety, nieczęsto się zdarzają takie pobrania wielonarządowe, gdyż wymaga to dość surowych kryteriów medycznych. Najczęściej pobierane są nerki z wątrobą. I tak, jak wspominałem, oprócz ratowania życia ratujemy też jego jakość. W tej chwili w Łodzi trzy ośrodki przeszczepiają rogówki. W całym województwie łódzkim około 300 osób oczekuje na ich przeszczep. Jedni mogą czekać, inni wymagają przeszczepu pilnie.

Co znaczy pojęcie śmierci mózgu?

Wbrew powszechnej opinii do śmierci mózgu nie doprowadzają najczęściej wypadki motocyklowe czy inne urazy, najczęstszą przyczyną są masywne dewastujące krwotoki wewnętrzne, np. z pękniętych tętniaków. U pewnego odsetka pacjentów obrzęk mózgu po takim krwotoku jest na tyle duży (pomimo intensywnego leczenia), że ciśnienie, które powstaje w czaszce, mówiąc w uproszczeniu, zaciska wszystkie naczynia, którymi w normalnych warunkach przepływa krew, powodując jego dramatyczne niedokrwienie i zniszczenie. Większość osób jest w stanie zrozumieć że jeśli przez jakiś narząd zupełnie nie przepływa krew, to ten organ obumiera, szczególnie jeśli jest to mózg, tak wrażliwy na niedotlenienie. W procesie diagnostyki często wykonuje się badania obrazowe, które właśnie wykazuje brak krążenia, ale to tylko jeden z etapów badania. Cały proces trwa najczęściej kilka lub kilkanaście godzin i algorytm postępowania jest doładnie określony przez polskie

prawo. We wszystkich krajach rozwiniętych jest tak, że jeśli komisja lekarska rozpozna śmierć mózgu, to jest to równoznaczne z formalnym stwierdzeniem zgonu.

Jakie jest prawo w naszym kraju dotyczące zgody albo sprzeciwu na pobranie narządów?

W Polsce istnieje prawo zgody domniemanej. Oznacza to, że człowiek za życia może wyrazić swój sprzeciw na pobranie narządów czy tkanek po śmierci, a jeśli tego nie zrobi, to zakładamy, że się zgadza. Swoją zgodę można wyrazić na trzy sposoby: w obecności dwóch świadków np. przy niedzielnym obiedzie, pisemnie na kartce i zaopatrzyć w swój podpis (przy czym nie musi to być poświadczony notarialnie) i trzeci sposób to jest wpis w tzw. Centralnym Rejestrze Sprzeciwów za pośrednictwem Poltransplantu. Oczywiście w procedurach przeszczepowych przestrzegamy ściśle prawa, jednak czynnik ludzki i emocjonalny jest dla nas również ważny. Zdajemy sobie sprawę, że rodzina osoby zmarłej często nagle znajduje się w ciężkiej sytuacji, traci najbliższego członka rodziny. Dlatego w decyzji o kwalifikacji do przeszczepu zawsze również bierzemy pod uwagę wolę rodziny.

Co jest najtrudniejsze w pracy koordynatora? Pana rola nie kończy się przecież na rozmowie z rodziną potencjalnego dawcy...

Praca jest odpowiedzialna i obciążająca psychicznie, ale myślę, że najtrudniejszy jest kontakt z rodzinami potencjalnych dawców, z ich stresem i cierpieniem.

W proces kwalifikacji i diagnostyki dawców, orzekaniu śmierci mózgu, pobraniu i przeszczepu narządów oraz opieki nad biorcami zaangażowanych jest kilkadziesiąt osób oraz Poltransplant, czyli państwowa organizacja, która nadzoruje przeszczepy w naszym kraju. Rolą koordynatora ds. przeszczepów jest między innymi koordynowanie i działań tych zespołów i wymiana między nimi informacji, ale również opieka nad dawcą i udział w organizacji badań.

Kto może być koordynatorem ds. przeszczepów?

Może zostać nim osoba z wyższym wykształceniem medycznym. Najczęściej jest to lekarz lub pielęgniarka, często z doświadczeniem pracy w intensywnej terapii, która ukończyła odpowiedni kurs organizowany przez Poltransplant lub ukończyła studia podyplomowe organizowane przez niektóre uczelnie medyczne. Pamiętajmy, że każdy z nas może kiedyś być po tej drugiej stronie i czekać na ten dar życia, jakim jest przeszczep narządu.

ZEUS (PRAWIE) WSZECHMOGĄCY: POLSKO-INDYJSKA BIONICZNA DŁOŃ

- Użytkownicy chcą, byśmy zamontowali zapalniczkę, śrubokręt czy latarkę - śmieją się pracownicy Aether Biomedical. Prawie 50 osób w pofabrycznym budynku w centrum Poznania projektuje, buduje i ulepsza bioniczne protezy dłoni

Szymon Paź



- U mnie, po dłuższym czasie użytkowania, nastąpiła tak głęboka integracja z protezą, że niemalże traktuję ją jako kończynę i nie zauważam jej istnienia - mówi Piotr Krukowski, który na co dzień korzysta z protezy Zeus

około 200 osób rocznie w całej Polsce traci rękę. Są wśród nich ofiary wypadków, pacjenci onkologiczni czy osoby, które urodziły z niedorozwojem kończyn. Mają do dyspozycji wiele możliwości - od najprostszych protez biernych po protezy bioniczne, sterowane ruchem mięśni. Do nich zalicza się Zeus. Proteza dłoni z Poznania to zdaniem jej użytkownika Piotra Krukowskiego ekstraklasa wśród tego typu rozwiązań.

Dla niego oznacza ona możliwość pracy zawodowej. Jako operator filmowy musi utrzymać w dłoni urządzenia wające nawet 20 kg. I mieć możliwość precyzyjnego manipulowania nimi. Inni mogą przystosować Zeusa np. do pracy z joystickami czy przekładnikami - wśród użytkowników Zeusa są m.in. operatorzy koparek. Prowadzenie samochodu, jazda na rowerze, praca przy komputerze to żadne wyzwania.

Bioniczna dłoń od Aether Biomedical z łatwością

chwyci papierowy kubek i go nie zgniecie, chwyci mocno butelkę z wodą pozwalając na odkręcenie korka, a gdy będzie potrzeba utrzyma nawet 35 kg. Kciuk działa jak u człowieka - przeciwnie, a więc podtrzymuje chwyt. Każdy palec porusza się osobno. Wzięcie w palce niewielkiego przedmiotu - żaden problem. Uchwycenie noża i pokrojenie steku - też. Bioniczna dłoń dostosuje się automatycznie do kształtu i ciężaru przedmiotu. Każdy użytkownik, z pomocą prote-

tyka, może zaprogramować najbardziej potrzebne spersonalizowane chwyt, dodając je do podstawowego katalogu 14 predefiniowanych wzorów.

- Wyższą jakość życia z protezą odczuwa się najlepiej, gdy chce się coś zrobić, a proteza akurat nie jest założona. U mnie, po dłuższym czasie użytkowania, nastąpiła tak głęboka integracja z tym urządzeniem, że niemalże traktuję ją jako kończynę i nie zauważam jej istnienia - opowiada Piotr.

Z Nowego Delhi do Poznania

Pomysłodawcami Zeusa i założycielami Aether Biomedical są Hindusi - Dhruv Agrawal i Faith Jiwakhan. Poznali się w szkole średniej. Dhruv trafił na medycynę - jest synem lekarzy - tam porwały go jednak bardziej techniczne aspekty leczenia. Na otrzymanej od ojca drukarce 3D wraz z Faithem zaczęli produkować podstawowe protezy dłoni dla dzieci, którymi opiekował się lokalny NGO w Nowym Delhi. Radość użytkowników i pewne suk-

cesy skłoniły ich do założenia firmy. Problemem było jednak finansowanie.

Po pewnym czasie trafili w Internecie na program Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości przeznaczony dla przedsiębiorców z zagranicy, którzy chcieliby swoją działalność prowadzić w Polsce. W październiku 2018 r. Dhruv wylądował w Polsce.

- Naprawdę sądziłem, że będę tu dwa miesiące. Ale w tym czasie podpisałem pierwszą umowę z inwestorem z Wrocławia, dostałem wspar-



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Im dłużej mieszkam w Polsce, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że niewiele jest miejsc na świecie lepszych do budowania firmy - mówi Dhruv Agrawal, współzałożyciel Aether Biomedical

cie Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, wreszcie poznałem Martę i Kamila, którzy szybko stali się kluczowymi członkami naszego zespołu. Więc postanowiliśmy rozwijać naszą firmę w Polsce - opowiada.

- Im dłużej mieszkam w Polsce, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że niewiele jest miejsc na świecie lepszych do budowania firmy - dodaje. Przyznaje, że po prostu spodobało mu się życie w Polsce i w Poznaniu. Ale jako przedsiębiorca zwraca też uwagę na biznesowe aspekty. - Macie mnóstwo utalentowanych i zmotywowanych do pracy inżynierów. A koszty operacyjne i kadrowe są wyraźnie mniejsze niż na Zachodzie. Dzięki niższym kosztom tak młodej firmie technologicznej łatwo się rozwijać - budować dobry produkt za rozsądne pieniądze. Macie też dobre wsparcie rozwoju ze strony państwa - korzystamy z polskich i europejskich grantów, wspierają nas też inwestorzy z państwowym kapitałem. I po trzecie - intensywnie wspieracie osoby z ograniczoną sprawnością.

Najlepsza cena na rynku

W Polsce osoby, które potrzebują protezy ręki czy nogi mogą liczyć na znaczną refundację kosztów z Narodowego Funduszu Zdrowia oraz programu „Aktywny samorząd” Państwowego Funduszu Reha-

bilitacji Osób Niepełnosprawnych. W szczególności dotyczy to osób w wieku produkcyjnym, między 16. a 65. rokiem życia. W przypadku Zeusa - protezy ręki z Poznania - nawet wkład własny nie powinien być problemem. Jak szacuje Aether Biomedical Zeus jest tańszy od porównywalnych protez o 60-80 procent. W efekcie, zdaniem firmy, sprzedała ona w ostatnim roku więcej protez niż inni producenci obecni w Polsce razem wzięci. Zeus dostępny jest w dwóch rozmiarach - większej, dla dorosłych mężczyzn i mniejszej - dla osób młodszych i dla kobiet.

Bezpośrednim klientem poznańskiej firmy są kliniki protezyczne, one też zajmują się opieką nad pacjentami - dobierają lej protezyczny dostosowany do potrzeb każdego pacjenta czy konfigurują urządzenie w oparciu o oprogramowanie dostarczane przez producentów takich jak Aether. Zmiany w ustawieniach na życzenie pacjenta, podobnie jak diagnostyka protezy, odbywają się za pomocą aplikacji, dzięki czemu można je wykonać

w kilka minut, z możliwością konfiguracji na odległość.

Właśnie wytrzymałości i serwisowi poświęcono w poznańskiej firmie wiele uwagi. - Inne protezy, z których korzystałem miały szereg różnych wad - niska siła uchwytu, awaryjność, długi czas serwisu - opowiada Piotr. - Ta ręka jest odporna na uderzenia mechaniczne. Mogę się na niej wstąpić wstając z krzesła, czy jeśli upadnę - oprzeć ciężar ciała wstając. W wielu protezach mógłbym je w ten sposób zniszczyć.

Diagnostyka przez aplikację pozwala na szybkie rozwiązywanie problemów. W odróżnieniu od innych zaawansowanych protez bionicznych, dzięki lokalizacji firmy w Polsce, częściej zamiennie lub egzemplarz zastępczy mogą zostać dostarczone do kliniki protezycznej następnego dnia. W przypadku producentów spoza Polski to w zasadzie niemożliwe.

Wiele pracy do zrobienia

Obecnie Aether Biomedical zatrudnia około 70 osób,



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

W poznańskiej siedzibie Aether Biomedical pracuje obecnie 50 osób, pozostałe 20 - w Indiach, Ukrainie i USA

z czego około 50 w centrali w Poznaniu, a resztę w przedstawicielstwach handlowych w USA, Indiach i Ukrainie. Dhruv Agrawal z łatwością wymienia obszary do rozwoju firmy. - Pierwszym jest mechatronika i robotyka. Odkąd zaprezentowaliśmy pierwszą wersję naszej protezy w 2020 r. poczyniliśmy znaczące postępy. Ale tego typu urządzenia będą stawały się coraz bardziej zaawansowane, więc to bardzo interesujący aspekt przyszłości.

Z drugim polem do rozwoju - bardziej zaawansowanymi systemami sterującymi - wiąże się na razie bariera technologiczna. - Bioniczne protezy sterowane są ruchami mięśni kilkoma odczytywanymi przez system sensorów dotykających ciała użytkownika. Obecnie są to stosunkowo proste systemy i wiele pracy musi zostać wykonane by wynieść je na nowy, wielokanałowy poziom, który np. umożliwi sterowanie ruchami poszczególnych palców bez konieczności używania predefiniowanych chwytów. Te prace już trwają - bardziej zaawansowane czujniki i wykorzystanie większej ilości danych, samouczące się algorytmy, by lepiej odczytywać ruchy mięśni, a tym samym umożliwić większą swobodę ruchów - opowiada założyciel Aether Biomedical.

Trzecim elementem jest rozwój oprogramowania. -

Przez wiele lat rozwój technologii medycznej skupiał się wokół sprzętu. Oprogramowanie jest swego rodzaju nowością, jego rozwój trwa dopiero od kilkunastu lat. Mamy bardzo wiele do nadrobienia w tej kwestii. Jako firma staramy się bardzo dużo poświęcać technologii informatycznej, by wspierać

pacjenta. Możemy sporo zrobić dla lepszego monitorowania zachowań czy zdalnego odczytywania pracy mięśni pacjenta, ale też jego potrzeb. Nie tylko na samym początku używania protezy, ale w dłuższej perspektywie. Wygląda na to, że poznańska firma nie będzie narzekała na brak pracy.

REKLAMA 0311243884

Tvoja jesienna kolekcja marzeń
- tylko w
CENTRUM MODY
NADARZYN

Czynne w każdej
NIEDZIELĘ
niektóre sklepy



Aleja Katowicka 51,
Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

JESZCZE WSZYSCY BĘDZIEMY SIĘ WSTYDZIĆ - MÓWI JEDYNY SKAZANY ZA KATASTROFĘ „HEWELIUSZA”

Marek Błuś był marynarzem na „Sołdku”, potem kapitanem i ekspertem od katastrof morskich. Po latach został dziennikarzem i jako pierwszy publicznie podważył oficjalną wersję wypadku promu „Jan Heweliusz”. Został za to skazany. Po latach docenił go Netflix

Marek Sterlingow

Kiedy postanowił pan zostać marynarzem?

Miałem sześć lat. Dzieciństwo spędziłem w Szczecinie. Widok statków - zwłaszcza lodolamaczy stojących przy Wałach Chrobrego - robił na mnie ogromne wrażenie. Czekaliśmy na zamrożenie zalewu, gotowe do akcji. Jeździłem tam z ojcem tramwajem. Do tego łódki z kory, które robiliśmy z ojcem, Tata wówczas żeglował. Umiał wszystko zrobić - dorabiał metalowe kile z puszek, żagle, tłumaczył zasady stateczności. Tak zaczęła się moja fascynacja morzem.

Kiedy pan ją ukończył szkołę morską?

W 1970 roku.

Slogan tamtych czasów: żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej.

Zaczynała się epoka Edwarda Gierka. Lata 70. były dobrym czasem także dla naszej żeglugi. Choć rozpoczynała się już rewolucja kontenerowa. Kontenery wypierały tradycyjne statki drobnicowe. W Polsce długo tego nie rozumiano. Na zajęciach w szkole mówiono nam, że to „ślepa uliczka”. Dawniej statek potrafił stać w porcie dwa tygodnie, robotnicy wybierali węgiel łopatami, a marynarze zwiedzali miasta i bary. To się właśnie kończyło. Kontenery, taśmowce, wielkie dźwigi do masówki - to wszystko radykalnie podniosło sprawność portów.

Pamięta pan swój pierwszy rejs?

Dostałem dość osobliwy przydział. Na jeden miesiąc trafiłem na „Sołdkę”.

Tego historycznego „Sołdka”? Pierwszy statek

zbudowany w Polsce po II wojnie światowej?

Tak, to ten - dziś stoi na Motławie w Gdańsku jako muzeum. Zostałem tam szeregowym marynarzem. Władze doszły wtedy do wniosku, że jest za dużo oficerów i trzeba spowołnić awanse. „Sołdek” pływał z węglem do Danii, do elektrowni. Z powrotem wracał pusty. W Szczecinie stawał na kilka godzin. Czasem nawet nie opłacało się iść do domu.

„Sołdek” był już chyba uznawany za antyk?

Cóż, to był przecież parowiec. One już powoli odchodziły.

Palacze ręcznie wrzucali węgiel do kotła?

Tak, szuflami. Żadnych automatycznych podajników.

Jak wyglądał pan dzień pracy?

Miałem wspólną kabinę z młodszym marynarzem. Wachta dzienna, wachta nocna, a między nimi osiem godzin wolnego przerywanego cumowaniem, odcumowaniem. Wystarczało na sen, posiłek, trochę odpoczynku. Czasu było sporo - nie trzeba było dojeżdżać, stać w korytach, odprowadzać dzieci.

To co robiliście?

Ja zawsze lubiłem czytać. Ciekawiła mnie prasa. Jak miałem 12 lat, to wydałem swoją pierwszą gazetkę klasową. Od 3. klasy kupowałem miesięcznik „Morze”, z czasem

stałem się namiętnym czytelnikiem takiego dziwnego periodyku: „Orzecznictwo Izby Morskich”. Rozczytywałem się w nim.

U nas w domu było dużo książek. Mój wujek, niedoszły prawnik też miał bogatą bibliotekę. Grzebiąc po tych półkach zacząłem interesować się prawem. Pierwszą książkę, jaką u niego przeczytałem, to było chyba „Prawo Rzymskie”.

Studenci prawa umierają przy tym z nudów.

A mi te skłonności się przydały w pracy i w życiu. Zawsze byli jacyś koledzy, znajomi którzy potrzebowali pomocy, bo mieli jakiś spór z pracodawcą i czuli się skrzywdzeni, zastanawiali się gdzie

szukać adwokata. Każdemu mówiłem: spokojnie, ja ci napiszę pozew czy podanie.

Oj, kierownictwa nie lubią takich gości. Czyli na pokładzie statku się pan nie nudził.

Nawet na statkach prowadziłem biblioteki.

Biblioteki?

Państwo miało ambicję „ukulturalniania” załóg. Istniał Morski Ośrodek Kultury. Przed rejsem przyjeżdżał gońiec i przywoził 150-300 książek. Czasem biblioteki fundowały zakłady pracy - kopalnie, fabryki, małe miasta.

Każdy statek miał bibliotekę?

Na tych, na których pływałem - tak. Ale czasami robił się bałagan. Bibliotekarz

na statku to funkcja czysto społeczna. Nie zawsze taka osoba się znajdowała. Zazwyczaj kto pierwszy przyjeżdżał na statek, ten chował sobie wybrane książki do kabiny. I czasami były tam całe rejsy. Ja starałem się pilnować, żeby do książek mieli dostęp wszyscy. Dużo dodatkowych zajęć. Ale dzięki temu wiele osób we flocie mnie znało. Organizator czasu wolnego był lubiany. Często było go aż za dużo.

Fajna praca.

Dopóki coś się nie popsuło, ale to uderzało przede wszystkim w personel maszyny. Załogi były więc za duże, szczególnie na nowych statkach. Stare potrzebowały rąk do tych wiecznych napraw, nowe mogłyby pływać z mniejszą liczbą ludzi. Ale system tego nie przewidywał, więc też były zatłoczone.

Dokąd jeszcze pan pływał?

Do Japonii z jednym bunkrowaniem na redzie w Singapurze. I to był pierwszy szok nowoczesności. Pięćdziesiąt tysięcy ton węgla rozładowano w półtora dnia i koniec postoju. Potem do Australii po rudę, załadunek w 12 godzin. Dobrze, jak udało się na chwilę wyjść do miasta, zrobić jakieś zakupy.

Polska była wtedy potęgą morską?

Może nie potęgą, choć czytając ówczesne gazety można było odnieść takie wrażenie. Ale to był nasz najlepszy moment. Polskie Linie Oceaniczne miały prawie dwieście statków. Inni armatorzy - kolejne setki. W tym wielka flota dalekomorskich statków rybackich. Nieporównywalne z dzisiejszą skalą.



Marek Błuś, kapitan żeglugi wielkiej, dziennikarz i publicysta

FOT. JAKOLINA MISZTAŁ



Prom „Jan Heweliusz” - zdjęcie wykonane w roku 1986

Jak rozwijała się pana kariera? Najpierw starszy marynarz, potem asystent pokładowy, czwarty oficer. Ale ta droga była sztucznie wydłużana. Przez jakiś czas miałem zakaz awansu.

Za co?

Najczęściej degradowano za alkohol. Ale ja za politykę. Były dwa „wykroczenia”: opozycja wobec systemu albo rewizjonizm. Często byłem krytyczny wobec przełożonych, więc uznano mnie za rewizjonistę.

Czyli tego co krytykuje jedyną słuszną linię partii i ciągle usiłuje coś naprawić. To pisanie podań dla kolegów też chyba panu nie pomagało?

Ale mnie za to koledzy szanowali. W latach 70. zostałem delegatem na ostatni kongres związków zawodowych PRL. W tak zwanych wielkich zakładach wybory były bezpośrednie i w miarę demokratyczne, głosowanie tajne.

Przełożeni zastanawiali się pewnie co z takim niepokornym zrobić?

Zrozumiałem, że ta moja kariera to pułapka. Że muszę odejść z PZM-u. Powiedziałem, że chcę przeprowadzić się do Gdańska. Tłumaczyłem to sprawami rodzinnymi. Miałem plan: zmieniać przedsiębiorstwa, zbierać doświadczenie. Trafiłem do Przedsiębiorstwa Robót Czerpalnych i Podwodnych. Pływałem na szalandach motorowych. Ale czasami zdarzały się też zlecenia zagraniczne.

Szalandach - czyli barkach na które ładuje się na morzu piach z pogłębiarek?

To było może mniej romantyczne niż pływanie po peł-

nym morzu. Zazwyczaj brzeg był w zasięgu wzroku.

Kim pan tam był?

Szyprem, zgodnie z ówczesną nomenklaturą kierownikiem statku. Szyper miał status robotniczy. Wymagana była ma-

Gdzie jeszcze pan pracował?

Potem przeszedłem do portu. Pracowałem tam jakiś czas, między innymi na holownikach. Tam też się udzielałem. Gdy mnie w tym porcie mieli już dosyć, to „sprzedali” mnie do Urzędu Morskiego, tam dałem dyrektorem. Postanowił mnie ukarać. I tą karą wedle niego było przeniesienie mnie między stanowiskami. Co trzy miesiące. Nie chcący spełnił moje marzenie. Zawsze chciałem poznać żeglugę z różnych perspektyw, także z wieży kapitanatu. No a potem się zrobił 1989 rok, można było kupić paszport i pracować u armatorów zagranicznych. Nie musiałem prosić nikogo o łaskę i zacząłem pływać na saksy. Pojechałem na długi kontrakt, bez zawijania do polskich portów. Jak wróciłem, patrzę, jest wolność słowa. To zacząłem szukać pracy w mediach.

Tam nie płacili tak dobrze jak na statkach.

Wróciłem z kontraktu, miałem pieniądze i relatywnie dużo czasu. Nie musiałem jakoś szukać roboty na siłę. Do Urzędu już nie chciałem wracać, chociaż miałem drogę otwartą.

Zaczął pan pisać. Gdzie?

Przez chwilę byłem nawet współpracownikiem „Dziennika Bałtyckiego”. Sam się do redakcji zgłosiłem z tekstem o nietypowym statku,

który stał niedaleko Skweru Kościuszki. Podszuchałem rozmowę turystów, którzy się zastanawiali, co to za statek.

Co w nim było takiego dziwnego?

To był prom-lodołamacz z Kanady, który tam jakąś zamrażającą cieśninę obsługiwał, w związku z tym tak dziwnie wyglądał. Przyniosłem to Adamowi Grzybowskiemu. On był zastępcą ówczesnego naczelnego. Powiedziałem, że kiedyś gazety miały reportażów, którzy włóczyli się po porcie. Pisali w latach 30. i 40. takie teksty, o tym co tam się dzieje, co ciekawego przybywało, co było załadowywane, rozładowywane. Grzybowski to kupił.

Potem przeszedł pan do Gazety Morskiej, lokalnego dodatku do Gazety Wyborczej.

To była wtedy nowa gazeta, byli gotowi spełnić moje plany: pozwolili mi stworzyć dział poświęcony morzu. Pomagała mi między innymi morską publicystką Grażyną Murawską i tak powstała cała kolumna pod tytułem „Gazeta Morska i Żegluga”, potem dwie kolumny. Zaczęło się to jakoś turlać. Liczyłem, że uda mi się odrodzić ogólnopolski tygodnik morski z prawdziwego zdarzenia, który będzie dodatkiem do lokalnych dodatków „Gazety Wyborczej” wzdłuż całego wybrzeża. Ale nie znalazłem part-

nerów ani sojuszników. Przez jakiś czas sam robiłem takie pismo zawodowe. Nazywało się „Azymut”.

Z publicystyki trudno wyżyć.

Poszedłem znów do szkół, tym razem uczyć. Nieznany mi wcześniej Marek Piełachy zaprosił mnie do Ośrodka Szkolenia Ratowniczego, uznając na podstawie moich tekstów, że się przydam. Tam dla marynarzy odbywały się szkolenia z samoratownia się i ratowania innych. Szkoliliśmy teoretycznie i praktycznie. Basen, pas ratunkowy, skoki do wody, trawata ratunkowa i tak dalej. Byłem tam trochę wykładowcą, trochę instruktorem. Problemem w tej edukacji jest deficyt casusów dotyczących wiedzy o losie pojedynczego robotnika. Każdy inaczej się ratuje i płyną z tego inne nauki. Każdy ma inne przygody w drodze z kabiny do łodzi lub tratwy i dalej na wodę. W czasach przed internetem trzeba było więc szperać po bibliotekach.

A co z pływaniem?

Pływałem w kratkę. Od czasu do czasu brałem wolne i ruszałem na kontrakt. Na jednym z takich wyjazdów zastała mnie katastrofa „Heweliusza”.

To był styczeń 1993 roku. Wrócił pan z morza i...

Poszedłem najpierw do biblioteki i przeczytałem wszystko co ukazało się w prasie. Czytałem o zmasakrowanych zwłokach i zastanawiałem się, co tam się właściwie wydarzyło. Dokąd płynął prom, na północ, czy na południe, jak pisał Krzysztof Leski. Dlaczego liczba odnalezionych ofiar zmalała z 41 do 38? Po jakie licho w Niemczech ten spęd ministrów od spraw wewnętrznych? Co to za narady szefa UOP-u z posłami? Co, żeby nie składali zapytań albo interpelacji w sprawie Heweliusza?

Ale sama katastrofa? W końcu statki są po to, żeby pływać nawet w czasie sztormu. A tu ginie 55 osób i ratuje się tylko dziewięć.

Miałem własne zdanie o „Heweliuszu”, jeszcze z wcześniejszych czasów. Interesowałem się przecież statkami od dziecka - zbierałem plany modelarskie, pocztówki ze zdjęciami Ukłejewskiego, potem poznałem teorię, liczyłem stateczność. Nie ja jeden to wiedziałem, na przykład piloci portowi w Świnoujściu też wiedzieli, że statek jest niestateczny: „To się kiedyś przewróci. Przy 4 metrach zanurzenia i 20 metrach nadbudówki - to musi się stać.” Zaczęłem czuć, że wokół tej historii dzieje się coś poważnego, że ktoś usiłuje tuszować prawdę.

Relacjonował pan postępowania przed Izłą Morską?

Na pierwsze rozprawy po katastrofie pojechała Grażyna Murawska. Na kolejną turę pojechałem i ja. Miałem więcej czasu, zrezygnowałem z etatu i codziennych obowiązków redakcyjnych i zostałem wolnym strzelcem.

Coś zwróciło na tej rozprawie pana uwagę?

Zrozumiałem, że uczestniczę w aferze. Napisałem wtedy reportaż „Szczecińska Izba-gate”. Od tego momentu zacząłem śledzić wszystko na bieżąco - jeździłem do ocalałych marynarzy i rodzin ofiar.

Gdzie pan drukował teksty?

Gdzie się dało. Czasem to były zamówienia redakcji, czasem sam proponowałem. Miałem wrażenie, że publikowano mnie coraz mniej chętnie.

Głośny był tekst „Zatonął w morzu kłamstwa”, który ukazał się w tygodniku „Przeгляд”.

Potem przedrukowały go „Życie Warszawy” i „Angora”, oni mieli wtedy ponad pół miliona czytelników.

Kto był zainteresowany wyciszeniem sprawy?

Przed wszystkim armatorzy. To zresztą zupełnie typowe, tak to po prostu działa branża. Armatorzy po katastrofach często próbują nakłonić ludzi do wygodnych dla nich zeznań. Po pierwsze sami chcą dostać odszkodowanie casco, po drugie - nie chcą płacić z tytułu odpowiedzialności cywilnej. To wiedza ze szkoły morskiej - pamiętam z 3. roku: „jak przeżyjecie wypadek, to na pewno przyjdzie armator i zaproponuje >>handel winą<<: jak pan się przyzna do tego, co wymyślimy, to w nagrodę placówka w Buenos Aires. Angielskiemu armatorowi możecie uwierzyć, polskiemu - nigdy”.

Nie jest to żadna teoria spiskowa?

Dokończenie na str. 12

ZROZUMIAŁEM, ŻE TA MOJA KARIERA TO PUŁAPKA. ŻE MUSZĘ ODEJŚĆ Z PZM-U. POWIEDZIAŁEM, ŻE CHCĘ PRZEPROWADZIĆ SIĘ DO GDAŃSKA

Dokończenie ze str. 11

W żegludze, bardziej niż w lotnictwie, jak wydarzy się katastrofa, to armator, ubezpieczyciel, państwo, każdy ma interes w tym, żeby przyjąć wygodną wersję wydarzeń. Tego nie ma w podręcznikach, ale na wykładach - owszem.

Byli też świadkowie, którzy nie chcieli mówić prawdy?

Na przykład kapitan Józef Kochmański z „Nieborowa”. Odmówił składania zeznań. Jak go telefonicznie odnalazłem, powiedział: „Moje słowa przyniosłyby wielką szkodę banderze polskiej.” Inny przykład: oficer operacyjny ratownictwa Marynarki Wojennej zeznawał o przebiegu akcji. Ale wyszło, że w najważniejszym momencie spał. Drugiego dyżurującego wówczas oficera nie wezwano, bo podobno wcześniej odmówił składania nieprawdziwych zeznań.

Czyli proces był prowadzony tak, żeby wyszło, że winny jest kapitan.

Tak. Orzeczenia izb morskich nie mają tzw. powagi rzeczy osądzonej, czyli dla sądów i ubezpieczycieli są tylko czymś w rodzaju opinii biegłych. Ale branża ubezpieczeń morskich nie chodzi po sądach. Wszystko uciera się w negocjacjach, ewentualnie w arbitrażu. Jeśli armator zawinił, nie dostanie ani grosza. Jeśli winny jest kapitan - ubezpieczyciel płaci. Dlatego tych zarzutów wobec kapitana było w Szczecinie dwanaście, w Gdyni trzy, w Izbie Odwoławczej już tylko dwa.

Rodziny marynarzy nie protestowały?

Rodziny ofiar działały chaotycznie. W Szczecinie pani Ułasiewicz wzięła za pełnomocnika zaufanego kapitana armatora. Kogo tak naprawdę reprezentował? Inne rodziny też nie miały wsparcia, nikt im nie doradzał, nie tłumaczył procedur. Adwokaci byli dziwnie bierni. Poszedłem nawet do jednego z mecenasów i zapytałem, dlaczego nie składał wniosków dowodowych np. o przesłuchanie byłych kapitanów tego statku? Wyrzucił mnie z kancelarii. Więc zacząłem działać inaczej. Namówiłem wdowy, żeby założyły stowarzyszenie. Pomagałem im, ale nie proponowałem, że zostanie pełnomocnikiem, do czego miałem prawo. Nie chciałem rezygnować z roli reportera. No i postanowiłem przeczytać całe akta izb morskich, ale to stało się możliwe dopiero po procesie w Gdyni.

To była chyba robota na kilka miesięcy?

Zajął mi to dwa tygodnie, po 6-7 godzin dziennie. Szybko, bo wcześniej poznałem akta Państwowej Inspek-



Wystawa w Narodowym Muzeum Morskim w Gdańsku w 30. rocznicę tragedii



Na ekspozycji zgromadzono przedmioty codziennego użytku pochodzące z promu



Do Muzeum pamiątki przekazał jeden z ocalałych, Grzegorz Sudwoj, drugi elektryk

cji Pracy, które częściowo pokrywały się z izbowymi, bo wymieniano się kopiami. Po tem „doczytałem” jeszcze akta prokuratury.

Ktoś panu za to zapłacił?

Nikt. Robiłem to żeby ustalić fakty. Powiedzmy, że było to moje hobby.

Co pan odkrył?

Przede wszystkim taśmę magnetofonową z niemieckiej stacji Rügen Radio. Po prostu w aktach była notatka służbowa o jej nadesłaniu i fragment instrukcji obsługi ma-

gnetofonu, takiego, jakiego używały służby nasłuchowe. To oznaczało, że taśmy były, ale nie odsłuchane. Nagrano je na specjalistyczny sprzęcie produkcji węgierskiej. Węgrzy produkowali takie magnetofony dla całego bloku wschodniego. Były to wielkie szafy ze szpulami do nagrywania 24 godziny na dobę. Instalowano w takich miejscach, jak straż pożarna czy kontrola ruchu lotniczego.

Odsłuchał je pan?

Powoli, nie tak szybko. Najpierw poprosiłem sędziego,

żeby pokazał mi tę taśmę. Pierwsze co zobaczyłem, to że jest przecięta w połowie i nawinięta na dwie szpule. Sędzia mi wtedy wyznał, że to on zrobił, bo chciał to odsłuchać na swoim domowym magnetofonie. Ale nie zadziałało i się poddał. Widać, że go paliła ciekawość, tylko sobie z tym nie poradził.

A pan znalazł sposób?

Znalazłem ten węgierski magnetofon w pogotowiu ratunkowym na Zaspie. Przedtem sprawdziłem straż pożarną i lotnisko. To jest długa histo-

Polska
Poniedziałek, 10.11.2025

ORZECZENIA IZB MORSKICH NIE MAJĄ POWAGI RZECZY OSĄDZONEJ, CZYLI DLA SĄDÓW I UBEZPIECZYCIELI SĄ TYLKO CZYMŚ W RODZAJU OPINII BIEGŁYCH

ria. Ale w końcu miałem to na kasecie i odsłuchałem w domu. Z pięćdziesiąt razy co najmniej. Dużo szumów, zresztą to była kopia, i jak się później okazało, ktoś próbował ją wybiórco kasować. Miałem trudności z językiem niemieckim, znalazłem kogoś, kto mi pomógł. Transkrypt dałem sędziemu i dwóm ławnikom. A potem napisałem tekst pod tytułem „Taśmy prawdy”. Poszło to w „Głosie Wybrzeża” w dwóch odcinkach.

A co takiego ciekawego było na tych taśmach? Zwłaszcza, że były zatarte?

Częściowo, głównie chodziło o usunięcie komunikatów Ułasiewicza z prawidłową pozycją. Natomiast nie zatarto informacji, że obok „Heweliusza” był drugi statek. Czyli są bezpośredni świadkowie. Ponieważ ten statek przedstawia się, koresponduje ze stacją brzegową Rügen Radio, podaje swoją nazwę, nadaje Mayday Relay i swoją pozycję. Znajdował się wtedy tuż przy Heweliuszu.

Jakie to ma znaczenie?

Bo są świadkowie, którzy widzieli cały wypadek i mogą o nim opowiedzieć. Wystarczyło ich przesłuchać i okazałoby się, że przebieg zdarzeń był inny, niż ustaliły izby morskie. Ponadto pojawia się statek, który można podejrzewać o zadanie ran rozbitkom a może już tylko ich zwłokom, co ukrywano.

Co się wydarzyło po publikacji pana tekstu?

Zaczęto mnie ścigać za zniesławienie.

Kto?

Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, osoby z sądu i prokuratury, które uznały, że naruszam ich dobre imię. Bo napisałem, że „zachowywali urzędowe milczenie w sprawie źródła dowodu”, ale użyłem słowa „ukrywać”. Mamy taki dziennikarski kodeks w postaci „zasad Orwella”. Zasada piąta mówi, że nie wolno nam używać makaronizmów, języka naukowego i zawodowego żargonu, jeśli znamy odpowiedniki z języka potocznego. Od pani asesor dowiedziałem się, że sędzia ukrywa dowody tylko wtedy, gdy je wynosi z sądu.

Dlaczego pozwali pana do sądu w Pile, a nie w Gdańsku lub Szczecinie? Złośliwość?

Nie, podejrzewam, że chodziło o to, żeby dziennikarzy nie było na sprawie. A rozpraw było kilka, co miesiąc.

No tak, kto będzie jeździł na rozprawę do Pily?

Tam w ogóle było trudno dojechać. To był okres, że nie było bezpośredniego pociągu ani z Warszawy, ani z Gdańska. Ja musiałem przez Tczew jeździć.

I został pan skazany.

Tak. Musiałem zapłacić m.in. tysiąc pięćset złotych na PCK, koszty procesu i przeprosić zniesławionych. A jak nie przeproszę, to dodatkowe 3,5 tysiąca złotych grzywny. Razem chyba dziewięć tysięcy.

Przeprosił pan?

Nie. Miałem wtedy finansowy dółek, ale wolałem zapłacić niż przeproszać. Poprosiłem o rozłożenie tego na raty i jakoś z pomocą znajomych to spłaciłem. To chyba po tym wyroku w Kurierze Szczecińskim ukazało się oświadczenie wdów. Napisała je żona starszego oficera pani Janicka. Pamiętam, ostatnie zdanie: „Jeszcze wszyscy będziemy się wstydzili”.

Czyli jest pan jedynym skazanym i ukaranym za wypadek promu „Heweliusz”?

Na to wychodzi.

W 2005 roku, po apelacji wdów orzeczenia Izby Morskiej zostały ocenione przez Europejski Trybunał Praw Człowieka. Według Trybunału, izby morskie nie były sądami niezawisłymi i bezstronnymi. A co z Panem?

Moja skarga została odrzucona po pięciu latach oczekiwania, bo nie złożyłem w Polsce skargi konstytucyjnej, choć nie musiałem. Skarzyłem procedurę a nie ustawę. Ale przez te pięć lat zmienił się tam sposób procedowania pod naciskiem lawiny skarg z Rosji.

Oglądał pan serial o „Heweliuszu” na Netflixie?

Gdy rozmawiamy, tylko dwa pierwsze odcinki na premierze. Jedną rzecz zauważyłem od razu: scenarzysta Kasper Bajon dokładnie przeczytał akta sprawy. Są tam oczywiście całkowicie zmyślone wątki fabularne, ale wygląda na to, że wątki dotyczące statku, katastrofy i spisku przeciwko Ułasiewiczowi są pokazane bardzo realistycznie.

To jest wasz kraj i tylko wy macie prawo ustalać w nim prawa

Ze Stanisławem Bokhonetsem, torunianinem z Ukrainy, rozmawiamy o biznesie w Polsce, socjalu dla uchodźców, zmieniających się nastrojach i polityce wobec migrantów

Adam Willma

Mieszkaś w Polsce już dziesięć lat. Czujesz się Polakiem?

Bardzo mi ten naród odpowiada, czuję się tu jak w domu. W domu też przez większość czasu rozmawiamy po polsku. Mentalnie już tak przywykłem, że czasem ludzie na Ukrainie mnie nie rozumieją. To dziwny stan zawieszenia, w którym w obcym kraju czujesz się jak u siebie, a w swoim - czasem jak obcy. Do tego mam polskie imię. Nadal jednak mam ukraiński paszport.

Wymienisz go na polski? Mówisz świetnie po polsku. Formalnie już mógłbyś to zrobić. Mieliliśmy z żoną taki plan, bo oczywiście nabycie polskiego obywatelstwa bardzo ułatwia wiele spraw, ale ostatnio wstrzymaliśmy się z tym.

???

Przez ostatnie półtora roku pojawiły się takie napięcia, które sprawiły, że zaczęliśmy się zastanawiać nad różnymi scenariuszami. Różnica nastrojów jest bardzo odczuwalna, trudno nie odczuć tej mocnej presji na obywateli z Ukrainy. I to się wszędzie, nie tylko w mediach. Pojawił się taki stereotyp wrednego, niegrzecznego Ukraińca, który chce wszystkim narzucić swoje zasady. Niszczy, oszukuje, wykorzystuje polski socjal. Problem w tym, że kiedy spytasz ludzi, czy sami mieli problemy z takimi Ukraińcami, zaprzeczają. Coś czytali, coś słyszeli, ktoś im opowiadał, ale sami tego nie doświadczali.

Ty chyba akurat nie możesz narzekać. Z tego, co widzisz firma cały czas się rozwija.

Nie mogę narzekać. Wyspecjalizowałem się w specjalistycznej hydraulice. Sporo czasu to zajęło, ale dziś mam dwa wyposażone w komplet narzędzi samochody. Jestem również pracodawcą. Przez kilka lat zatrudniałem Polaka, świetnego chłopaka, który nabrał u mnie doświadczenia. Generalnie jednak, choć nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę, coraz trudniej znaleźć dziś ludzi do pracy.

Jak wygląda prowadzenie działalności gospodarczej w Polsce oczami Ukraińca?

Założyłem firmę, kiedy tylko mogłem ją założyć. Mam po-

równanie z prowadzeniem działalności na Ukrainie, więc uwierz mi, że w polskiej rzeczywistości czuję się jak ryba w wodzie. Polska dała mi mnóstwo możliwości, szansę na bardzo szybki rozwój. Od początku założyłem, że pracuję tylko legalnie, płacę wszystkie podatki, odprowadzam wszystkie składki. Chciałem działać uczciwie, wypełnić wszystkie przepisy, żeby każdy wiedział, że jak przychodzisz do mnie, dostaniesz kwit, gwarancję i wszystko co trzeba. Oczywiście, jako właściciel firmy nie ma szansy, żebyś pracował 8 godzin. Zwłaszcza początek był dla mnie, jako obcokrajowca, bardzo trudny, bo załatwianie wszelkich formalności zabiera więcej czasu. Wsta wałem o szóstej rano, za pracy wałem często około północy. Ale praca z ludźmi z mojej perspektywy mega przyjemna. Powiem jedno - przez cały czas działalności w Polsce nie mam żadnej niezapłaconej faktury, a chodzi o faktury od 10 do 100 000 zł. Mam poczucie, że ludzie dobrze mnie odbierają, ale ja też traktuję ich poważnie. Miałem też trochę szczęścia, bo kiedy przyjechałem akurat w trakcie boomu budowlanego, sporo ludzi brało kredyty na budowę, więc pracy było sporo.

Wybuchła wojna. Oglądałeś te wydarzenia już z polskiej perspektywy.

I to, co zobaczyłem, było niesamowite i godne podziwu. Czuło się, że jest w Polakach ta pamięć czasów, kiedy sami byli bombardowani i najeżdżani. Że wiedzą, co to oznacza, kiedy musisz uciekać z własnej ojczyzny i tułać się po świecie. To są gesty, których nie da się zapomnieć. Znam wielu ludzi, którzy przyjęli rodziny z Ukrainy pod swój dach.

Pamiętam rozmowę ze znajomym Ukraińcem, który w 2021 już od kilku lat mieszkał w Polsce. Obawiał, że ten masowy napływ ludzi z Ukrainy odbije się negatywnie na ludziach, którzy zamieszkali w Polsce wcześniej. „Przyjadą nie tylko ci, którzy starają się coś zmienić w życiu, ale przyjedzie też cały przekrój społeczny, w tym ludzie z marginesu. I ci ludzie wpłyną na ocenę nasz wszyst-



Jesteśmy gośćmi u was - mówi S. Bokhonets

Teraz, jeśli pojawia się niechęć do Ukraińców, to ma ona inne podłoże - chodzi o socjal i kolejki u lekarzy. O 800+, które niektórzy pobierają na dzieci mieszkające na Ukrainie.

Osobiście nie spotkałem się z taki przypadkami, ale znając naszych „kumatych” ludzi z Ukrainy wierzę, że takie przypadki się zdarzają. Z początku wraz z żoną byliśmy bardzo zaskoczeni, że aby dostać świadczenia społeczne uchodźcy wojenni muszą spełniać tak niewiele warunków. Już wówczas mieliśmy przeczucie, że ta sprawa może z czasem odwrócić nastroje. Ale, powtórzę, prawo obowiązujące w Polsce zależy tylko od was i to wy macie wyłączone prawo decydować komu i jakiego wsparcia udzielać. W moim przekonaniu należało rozróżnić ludzi z Donbasu czy okolic Kijowa, którzy rzeczywiście stracili swoje swoje domy, bliskich, utracili zakłady pracy od tych, którzy przyjechali z zachodniej Ukrainy, na przykład z okolic Lwowa. Bo przecież tam toczy się cały czas w miarę normalne życie. Działają sklepy, fabryki, restauracje. Nie jest lekko, wynagrodzenia są niskie, ale da się żyć. Minął już najgorętszy czas, można było zweryfikować autentyczne potrzeby, bo przecież w każdym społeczeństwie są ludzie, którzy chętnie wykorzystują możliwości ofe-

rowane przez system. Jeśli powstały jakieś luki, jest czas, aby je podomykać. Powtórzę: to jest wasz kraj, wasze prawo. I nikomu nic do tego, jakie decyzje podejmiecie

Problem w tym, że niektóre decyzje związane są z nieuchronnym konfliktem interesów. Miałem okazję ostatnio słuchać argumentów rolników, dla których import tanich produktów rolnych oznacza być albo nie być. Tu nie ma złości wobec Ukraińców, ale zwykły rachunek. Zdaję sobie sprawę ze złożoności tego problemu. Dla Ukraińców on też wcale nie jest prosty, bo chodzi przecież nie o małe gospodarstwa rolne, a o wielkie farmy należące do oligarchów. Wydaje mi się, że w tym wszystkim trzeba mieć na uwadze jedną rzecz - jeśli Ukraina tę wojnę przegra i ogromne tereny upraw dostaną się we władanie Rosji, to przecież ta żywność nie zostanie, będzie ona w dyspozycji Rosjan i będzie ich kolejną kartą przetargową. Dlatego wydaje mi się, że również w interesie Polski i całej Europy jest, aby ten wielki potencjał rolny był w jakiejś mierze pod kontrolą Unii Europejskiej, a nie pod kontrolą Rosji. Ale znowu mamy ten sam problem - Ukraina oczywiście stara się wywalczyć jak najwięcej dla siebie, i trudno się dziwić, ale decyzje w tej sprawie zapadają przecież nie w Kijowie, ale w Brukseli i tam Polacy mają realny wpływ na ich kształt. A najgorsze z mojego punktu widzenia jest obwinianie o to wszystko Ukraińców mieszkających w Polsce. Spój na to moimi oczami - mieszkam tu już prawie 10 lat, moje dzieci się tu wychowały, hymn polski znają lepiej niż ukraiński. Byłbym głupi, gdybym działał wbrew interesowi Polaków. Przecież od tego, czy ludziom będzie się tu powodzić zależy również przyszłość mojego biznesu. Im lepsza kondycja finansowa Polaków, tym więcej instalacji hydraulicznych do założenia. Tymczasem to, co dzieje się od półtora roku jest naprawdę przynębiające.

Co masz na myśli? Przede wszystkim zdumiewa mnie to, że politycy, którzy zrobili dla Ukraińców wiele dobrego w przeszłości, byli

rowane przez system. Jeśli powstały jakieś luki, jest czas, aby je podomykać. Powtórzę: to jest wasz kraj, wasze prawo. I nikomu nic do tego, jakie decyzje podejmiecie

Problem w tym, że niektóre decyzje związane są z nieuchronnym konfliktem interesów. Miałem okazję ostatnio słuchać argumentów rolników, dla których import tanich produktów rolnych oznacza być albo nie być. Tu nie ma złości wobec Ukraińców, ale zwykły rachunek.

Zdaję sobie sprawę ze złożoności tego problemu. Dla Ukraińców on też wcale nie jest prosty, bo chodzi przecież nie o małe gospodarstwa rolne, a o wielkie farmy należące do oligarchów. Wydaje mi się, że w tym wszystkim trzeba mieć na uwadze jedną rzecz - jeśli Ukraina tę wojnę przegra i ogromne tereny upraw dostaną się we władanie Rosji, to przecież ta żywność nie zostanie, będzie ona w dyspozycji Rosjan i będzie ich kolejną kartą przetargową. Dlatego wydaje mi się, że również w interesie Polski i całej Europy jest, aby ten wielki potencjał rolny był w jakiejś mierze pod kontrolą Unii Europejskiej, a nie pod kontrolą Rosji. Ale znowu mamy ten sam problem - Ukraina oczywiście stara się wywalczyć jak najwięcej dla siebie, i trudno się dziwić, ale decyzje w tej sprawie zapadają przecież nie w Kijowie, ale w Brukseli i tam Polacy mają realny wpływ na ich kształt. A najgorsze z mojego punktu widzenia jest obwinianie o to wszystko Ukraińców mieszkających w Polsce. Spój na to moimi oczami - mieszkam tu już prawie 10 lat, moje dzieci się tu wychowały, hymn polski znają lepiej niż ukraiński. Byłbym głupi, gdybym działał wbrew interesowi Polaków. Przecież od tego, czy ludziom będzie się tu powodzić zależy również przyszłość mojego biznesu. Im lepsza kondycja finansowa Polaków, tym więcej instalacji hydraulicznych do założenia. Tymczasem to, co dzieje się od półtora roku jest naprawdę przynębiające.

Co masz na myśli?

Przede wszystkim zdumiewa mnie to, że politycy, którzy zrobili dla Ukraińców wiele dobrego w przeszłości, byli

w stanie z dnia na dzień zmienić front i zacząć przedstawiać Ukraińców jako źródło wszelkich problemów. To przynębiające uczucie - uświadomić sobie, że ludzie są po prostu pionkami w politycznej grze. Towarzyszy temu też zmiana nastrojów społecznych: pojawiły się złośliwości, których wcześniej nie było, nawet ze strony służb mundurowych spotykam się z lekceważącym stosunkiem, którego również wcześniej nie pamiętam. Nie jestem osobą anonimową, mam konto w mediach społecznościowych, pokazuję tam szczegóły swojej pracy. I od jakiegoś czasu muszę konfrontować się z komentarzami, które są dla mnie naprawdę trudne.

„Dlaczego nie jedziesz na front”?

Takie również. Te najbardziej boją, jeśli pochodzą od ludzi, którzy trochę mnie znają. Bo wiedzą przecież, że w Polsce mam całą swoją rodzinę, cały biznes, że jestem jedynym żywicielem rodziny. Wiedzą też, że od początku byłem zaangażowany w pomoc. Przywoziłem ludzi z Mołdawii (mąż pozostał w kraju i przez cały czas pobytu opłacał żonie i dzieciom wynajem mieszkania, nie korzystali z żadnych zasiłków), kupiłem za własne pieniądze samochód dla ukraińskich żołnierzy, pomagałem na inne sposoby. Mam wrażenie, że ci którzy krzyczą „Polska dla Polaków” nie zdają sobie sprawy, że wielu Ukraińców już z Polski wyjechało, zwłaszcza uchodźców wojennych. Pojawiały się specjalne programy ułatwiające wyjazd do Niemiec czy USA. Tymczasem migracja Ukrainy (borykającej się również z potężnym demograficznym problemem) w jakiś sposób zatrzymała konieczność przyjmowania pracowników z krajów odległych kulturowo. Mieszkam tu już tyle lat i widzę, że naprawdę jesteśmy bardzo podobni.

Rozmawiasz na te tematy z Ukraińcami?

Często. I wtedy zawsze muszę stawać w tej dziwnej roli - rozmawiając z Polakami jestem adwokatem Ukraińców, w rozmowie z Ukraińcami bronię Polaków. Już chyba się tej roli nie pozbędę: swój dla obcych, obcy dla swoich.

GRZEGORZ TURNAU: W MIŁOŚCI ZAWIERA SIĘ WSZYSTKO, CO JEST DO ŻYCIA POTRZEBNE

„Szósta godzina” to tytuł nowej płyty krakowskiego piosenkarza. Czternaście znajdujących się na niej piosenek łączy w spójny sposób dyskretny humor z poetycką zadumą.

W rozmowie z nami Grzegorz Turnau zdradza, że głównym motywem na albumie jest zima

Patryk Gzyl

Niedawno zakończył się Konkurs Chopinowski. Cała Polska śledziła przez trzy tygodnie zmagania najlepszych pianistów świata. Pan też?

Nie. Po pierwsze, nie miałem jak, a po drugie, niespecjalnie się starałem. Nie jestem zaangażowany emocjonalnie w Konkurs Chopinowski.

Za młodu uczył się Pan grać na fortepianie przez 7 lat. Nie żałuje Pan, że nie poszedł dalej tą drogą i nie został klasycznym pianistą?

Właśnie dlatego, że chodziłem przez 7 lat do szkoły muzycznej, nie angażuję się emocjonalnie w Konkurs Chopinowski. Wspomnienia egzaminów z fortepianu są dla mnie do dzisiaj bolesne. Nie próbuję sobie nawet wyobrazić, co przeżywają uczestnicy takiego konkursu. Nie lubię również pseudosportowej atmosfery, która mu towarzyszy, a szczególnie ogólnonarodowego, groteskowego znawstwa, które się odradza przy tej okazji, a razi mnie swą bezczelnością.

Czyli?

Jeśli jest konkurs i nagrodę przyznaje jury, to jej laureatowi należy się szacunek i gratulacje, a nie „szok i niedowierzanie”. To jest zupełnie nie na miejscu. Proponuję zorganizowanie alternatywnego Konkursu Chopinowskiego przez widzów, bo wtedy będą oni mogli swobodnie oceniać i przyznawać nagrody.

Dzisiaj gra i komponuje Pan przy fortepianie. Czyli te 7 lat nie poszło jednak na marne?

Oczywiście, że nie poszło. Jestem głęboko wdzięczny moim nauczycielom z Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej

Im. I. J. Paderewskiego w Krakowie, gdzie uczyłem się podstaw teorii i gry na fortepianie, a szczególnie mojej cioci, prof. Krystynie Adamskiej, która zawsze jest bardzo emocjonalnie zaangażowana w Konkurs Chopinowski. Ale jako pianista akompaniujący jestem w dużej mierze samoukiem. Na bazie tego, co wyniosłem ze szkoły muzycznej, wypracowałem własny sposób gry, ukształtowany także w drodze współpracy z wieloma wspaniałymi artystami.

Codziennie zasiada Pan do fortepianu?

Jest znane powiedzonko: kiedy nie ćwiczę kilka dni, to sam to słyszę, ale kiedy nie ćwiczę tydzień, to słyszy to już widownia. W moim przypadku ćwiczenie na fortepianie to przede wszystkim ćwiczenie mózgu. Palce zwykle sobie radzą, chociaż od czasu do czasu trzeba je naostrzyć. Sam sobie wymyśliłem zestaw wprawek wystarczający do wykonywania własnego repertuaru. Unikając pułapek fałszywej skromności, mogę powiedzieć, że obecnie gram na pewno trochę lepiej niż na początku, ale w samodzielnym wyznaczonym zakresie. Chopina w filmie bym nie zagrał.

Kiedyś powiedział Pan: „Radość tworzenia to legenda. Tak naprawdę tworzenie to zmaganie się”. Naprawdę tak to wygląda?

Oczywiście. Ale czy ja powiedziałem, że to zmaganie jest nieprzyjemne? Chyba zbyt często mylimy satysfakcję z wykonanej pracy z nieumotywowaną radością bytu. Wiatr we włosach, słońce w ramionach i mamy utwór?

To tak nie działa. Jest to za każdym razem proces. Im bardziej skomplikowany, tym słodszy w finale. Przed laty w kabarecie Piwnica pod Baranami profesor Gośliński miał wykłady o sztuce jako „formie zorganizowanej rozpaczy”. Wziąłem je sobie do serca.

Od ostatniej płyty z Pana autorskim materiałem minęło aż 11 lat. Brakowało Panu natchnienia?

Wszyscy mnie ostatnio w związku z promocją nowego albumu o to pytają. I nie mam dobrej odpowiedzi, bo przez tych 11 lat robiłem dosyć dużo różnych rzeczy: napisałem mnóstwo piosenek oraz muzyki do teatru, ponieważ byłem przez 9 lat kierownikiem muzycznym Teatru Lalka w Warszawie. Wydałem też w tym czasie dwie płyty: „Bedford School” z angielskimi coverami i potrójny album „L” z nigdy wcześniej niepublikowanymi utworami. Zajęło mi to więc sporo czasu. Do tego zagrałem kilkaset koncertów. Kiedy mnie więc pan pyta, czy nie miałem weny, to ja odpowiadam, że raczej nie miałem czasu. Ale przecież nigdy nie odmierałem go płytami i nie wmaślałem sobie, że muszę wydać nowy album co 2-3 lata. Musiałem się po prostu zastanowić spokojnie, co i jak chciałbym zaprezentować na nowej płycie. I tak też zrobiłem.

Jak potem szła Panu praca nad piosenkami?

Nieśpiesznie. Zaczęła się latem 2023 roku, a ostatnie rzeczy kończyliśmy na początku 2025 roku. Samo to świadczy o tym, że ten rosół gotował się powoli. Chciałem, żeby była to płyta dopracowana i spójna, żeby połączyć wszystkie wątki. Żeby stanowiła coś w rodzaju audycji do wysłuchania w całości. Wiem, że to już nie te czasy i teraz - za sprawą streamingu - liczą się głównie pojedyncze piosenki o określonym terminie ważności. Ale żyje się raz i dla mnie ważne jest to, co chcę zrobić, bez względu na to, czy to się komuś bardziej czy mniej spodoba. Moja poprzednia płyta premierowa - „7 widoków w drodze do Krakowa” - była dosyć konceptualna, bo dotyczyła konkretnego zjawiska artystyczno-obyczajowego, ale pozostałe nie były już aż tak spójne. Komponowałem je często z rzeczy, które wydawały się pojawiały „po drodze”. „Szósta godzina” uważam za najbardziej spójną z dotychczasowych.

Na płytę trafiły bogato aranżowane utwory - gra tu nie tylko Pana stałe trio, ale też choćby Atom String Quartet. A wydaje się, że te piosenki są zwiewne, skromne i oszczędne. Jak to się robi?

W jednej z recenzji „Szóstej godziny” ktoś napisał, że

przyjemnie brzmi na niej kontrabas. Tymczasem tam nie ma tego instrumentu, jest za to akustyczna gitara basowa. Cieszę się jednak z tej pomyłki, bo pokazuje ona, że otaczam się muzykami, którzy grają w nieoczywisty sposób i potrafią uzyskiwać nieoczywiste brzmienia. To jest trochę odpowiedź na pańskie pytanie. Współpracuję bowiem z artystami, z którymi się świetnie rozumiem, ale z którymi ta współpraca jest też cały czas zaskakująca. Kiedy robimy razem coś nowego, a znamy się już 20 czy 30 lat, to i tak zawsze pojawia się element wzajemnego zaskoczenia. I to jest ważne: że nie zatrzymaliśmy się, że nie chcemy sobie tylko ułatwiać życia, ale lubimy się tak bardzo, że czasem je sobie utrudniamy. Ta płyta brzmi jak brzmi również dlatego, że robiliśmy ją podczas kilku sesji w niezwykłym miejscu - studiu postawionym w Kotlinie Kłodzkiej, wśród łąk i lasów, łagodnie opadających wzgórz. To drewniany budynek stojący na wzniesieniu. Przeżyliśmy tam głęboką, piękną zimę, zachowaliśmy więc, polonistycznie rzecz ujmując, jedność miejsca, czasu i akcji. I faktycznie ten dominujący na płycie motyw zimy był jednocześnie scenografią naszej pracy.

W sześciu piosenkach z „Szóstej godziny” śpiewa Dorota Miśkiewicz. Skąd ta artystyczna i prywatna przyjaźń między państwem?

Dorota jest od 20 lat jak ktoś z rodziny, z jednego zespołu. Tak często spotykamy się w studiu i na koncertach, że właściwie trudno oddzielić nasze drogi. Ja włożyłem kilka

swoich pomysłów w albumy Doroty, a ona zawsze bez oporów udzielała się na moich, za proszenie Doroty było więc oczywiste. „Szósta godzina” to bardzo kameralna przestrzeń, nie było więc miejsca na chór. Stąd Doroty głos raz jako wokalny instrument, rodzaj kontrapunktu dla śpiewanych przeze mnie wersów, a kiedy indziej jako postać w dialogu.

Zawsze przynajmniej w jednej piosence na każdej Pana płycie gra na flecie żona. Tu też tak jest. Trzeba ją mocno namawiać?

Namawiać może nie, natomiast trzeba ją jakoś zwabić do studia.

A czym się wabi żonę do studia?

Obietnicą przyjemnego spędzenia czasu w Gniewoszowie na przykład. Ta nasza artystyczna współpraca trwa tak samo długo, jak małżeństwo. To od zawsze jest jedna z łączących nas nici. Zaczęliśmy od wspólnego występowania w kabarecie, potem Marynia trafiła na wiele lat do mojego zespołu. I ten jej flet jest bardzo ważny, można powiedzieć, że jest to „flet założycielski”. Słychać go już w nagraniu „Naprawdę nie dzieje się nic”. A to przecież początek mojej ścieżki fonograficznej.

Tym razem nie uniknie Pan szufladki z napisem „piosenka poetycka”, bo śpiewa Pan na „Szóstej godzinie” poezję. Co sprawiło, że postanowił Pan sięgnąć po Zagajewskiego, Moczulskiego, Czechowicza czy Maja?

Jedne piosenki pojawiły się wcześniej, drugie później.

*NIE WIERZĘ W TWÓRCZOŚĆ
DLA SAMOZASPOKOJENIA.
DLA MNIE TO FAŁSZYWE.
TO DOTYCZY TEŻ MIŁOŚCI*



FOT. TOMEK SIKORA

Grzegorz Turnau: Każde z nas jest elektrownią. Uśmiecham się i do takiej myśli, że energia, którą wytwarzamy wraz z ostatnim oddechem, może jeszcze sobie potrać. Najdłużej oczywiście przez zasilenie innych ludzkich elektrowni. Niektórzy nazywają to wędrówką dusz

Do krótkiego wiersza Adama Zagajewskiego „Płomień” już dość dawno temu napisałem muzykę, ale brakowało mi czegoś w rodzaju rewersu. Stąd mój poprzedzający go tekst „Jedliśmy agrest”, jakby do tamtego przyklejony. Jak profanum do sacrum, że tak się wyrażę. Dzięki niemu tytułowy „płomień” z wiersza Zagajewskiego jaśniej świeci. „Paskudną piosenkę” Bronisław Maj podarował mi też ładnych parę lat temu i ona również czekała na swój rewers, czyli „Południowe sny” Leszka A. Moczulskiego, ponieważ obie dotyczą melancholii i różnych sposobów wyczołgiwania się z jej tuneli. „Paskudna piosenka” w oryginalnej ma zresztą o wiele więcej zwrotek, ostatnio ją nawet okolicznościowo z prof. Majem rozwinęliśmy. Jest to forma otwarta - może kiedyś zarejestrujemy całość, ale raczej z zastrzeżeniem publikacji minimum 50 lat po naszej śmierci. Natomiast jeśli chodzi o Leszka Aleksandra Moczulskiego, to znaleźliśmy się wespół pracowali przez wiele lat, od czasu jego i Jana Kantego Pawluśkiewicza „Nieszporów ludźmierskich”. Leszek poda-

rował mi, przeczytał przez telefon, zostawił w kawiarni lub wysłał mejlem bardzo wiele tekstów. Niektóre trafiły na płyty lub były wykonywane na koncertach, ale część została w archiwum. 5-6 lat po śmierci Leszka otworzyłem tę szufladę. I - w pewnym sensie - na „Szóstej godzinie” znowu się z nim spotkałem. Natomiast swoje teksty, które stanowią połowę słownej warstwy albumu, w większości dopisywałem do już istniejących kompozycji, albo - jak w przypadku „Balowych buciaków babci Anny” - pisałem, komponowałem i od razu nagrywałem w studiu.

Głównym motywem na „Szóstej godzinie” jest zima. To podobno Pana ulubiona pora roku. Za co Pan lubi zimę?
Za to, że nie muszę cierpieć upału.

(Śmiech) A tak na serio?
Już bardziej serio nie może być. Zima nie rozprasza nas festiwalami kolorów, obietnicami czy złudzeniami. Jest surowa i daje odpowiedzialność od nadmiaru. Po prostu jest powściągliwa. Dzięki ciszy możemy usłyszeć muzykę, a dzięki zimie możemy docenić

wszystkie kolory wiosny czy jesieni, ale z dystansu.

W tych wierszach zima to sen, a sen to, jak Pan kiedyś powiedział, „próba generalna” przed śmiercią. I jej cień unosi się nad tymi piosenkami. To dlatego, że zbliża się Pan powoli do sześćdziesiątki?
Nie tak powoli, raczej bardzo szybko.

Ja już przekroczyłem sześćdziesiątkę.
Czyli da się przeżyć. Sen to kluczowe słowo w sztuce. Bo podstawowe pytanie dla każdego, kto cokolwiek tworzy, brzmi: czym jest rzeczywistość? Snem? A jak nie, to czym? W jednej z moich pierwszych licealnych piosenek śpiewałem: „I zanim się do wszystko stanie/ na klucz się zamknę w fortepianie/ I choć to miejsce trochę ciasne/ zasną”. I właściwie cały czas podejrzewam, że to wszystko, co się wokół mnie dzieje, może być snem leniwego licealisty.

Niby śpiewa Pan, że „Mamy czas”, ale podkreśla, że w końcu ten czas powie człowiekowi „dość” i zaliczymy „ostatni bal”.

Żyjemy w takich czasach, kiedy ludzie przestali dostrzegać sarkazm i ironię. Zniknęła całkowicie dwuznaczność, wszystko jest tak szalenie dosłowne, że czasem nie nadążam. Niedawno byłem w programie Kuby Wojewódzkiego i on zahaczył o moją współpracę z Taco Hemingwayem. Chciałem mu więc wytłumaczyć, że to nie była żadna współpraca, tylko pozwoliłem Filipowi na wykorzystanie fragmentu jednej z moich piosenek. I Kuba zapytał mnie (sarkastycznie), czy dzięki temu wreszcie zarabiam jakieś pieniądze. Nie czekając, odpowiedziałem: „Ależ oczywiście! Dzięki Taco Hemingwayowi mógłbym już nie pracować!”. I proszę sobie wyobrazić, że kilka dni później widzę gdzieś nagłówek: „Turnau nie musi już pracować dzięki Taco Hemingwayowi”. Więc teraz, kiedy śpiewam, że „Mamy czas” powinienem dośpiewywać przypis, że „K***a, nie mamy czasu!”. Mam nadzieję, że jednak nie wszyscy potrzebują przypisów.

Jak Pan sobie radzi tym z przemijaniem?

Na różne sposoby. Nie ma jednej metody. Od bardzo dawna cała armia osób próbuje to profesjonalnie rozszyfrować i niespecjalnie im to wychodzi. Dlatego nie będę tu pozował na znawcę, jak ci państwo od Chopina. Trzeba co rano podjąć decyzję: czy to lepiej, że się obudziliśmy, czy gorzej. Od tego zależy cała reszta.

Najlepszym sposobem na przemijanie wydaje się tu być po prostu radość życia, którą daje przede wszystkim miłość. Tak odczytuję „Dwa bilety”, „Gdybyś” czy „Jedliśmy agrest”. Miłość jest dla Pana istotą życia?

Tak, bo w niej zawiera się wszystko, co jest do życia potrzebne. Nie ma miłości bez komunikacji, tak jak żadna twórczość nie istnieje bez odbiorcy. Nie wierzę w twórczość dla samozaspokojenia. Dla mnie to fałszywe. To dotyczy też miłości. Ale pod słowem „miłość” jest też troska, czułość, cierpliwość.

Jest Pan żonaty od prawie 40 lat. O takiej dojrzałej miłości „niedozwolonej do lat 50” śpiewa Pan w „Dwóch biletach”. Ta dojrzała miłość bar-

dzo jest inna niż ta młodzieńcza?

Byłbym ostrożny z mówieniem o miłości, jakby to było jakieś zjawisko przyrodnicze. Nie boję się śpiewać o miłości, ale nie potrafię jej omawiać jak tęczy czy zachodu słońca. Nasz stosunek do takich spraw, jak przemijanie czy miłość, ulega zmianom, które są wpisane w biologiczny zegar.

W piosence „Gdybyś” opowiada Pan o przeznaczeniu. Skojarzyła mi się ona z takim ludowym powiedzeniem, że „mąż i żona od Boga przeznaczona”. Wierzy Pan w przeznaczenie?

Rozumiem, że ktoś może potrzebować takiego lapidarnego sformułowania, ja za tego typu refrenami jednak nie przepadam. Dla jednego przypadek jest przeznaczeniem, dla drugiego przeznaczenie to przypadek. Uśmiecham się do myśli, że obie wersje są uprawnione. W „Gdybyś” śpiewam jednak nie o przeznaczeniu, ale o tym, by dostrzec siebie w innych ludziach i oswoić powtarzalność ludzkich losów. Każdy związek jest niepowtarzalny i powtarzalny zarazem. Przypomina mi tu się wiersz Czesława Miłosza „Powrót do Krakowa w roku 1880”, gdzie pojawia się wers: „Na miejscu starych ludzi są znów starzy ludzie”. To niesłychane zdanie. Potężne.

W „Mamy czas” śpiewa Pan, że po śmierci „w nagrodę lub za karę przyjdzie poza czasem być”. Znajduje Pan pociechę w metafizyce?

Każde z nas jest elektrownią. Uśmiecham się i do takiej myśli, że energia, którą wytwarzamy wraz z ostatnim oddechem, może jeszcze sobie potrać. Najdłużej oczywiście przez zasilenie innych ludzkich elektrowni. Niektórzy nazywają to wędrówką dusz.

Płytkę kończy najbardziej radosna piosenka tytułowa. Czym jest ta „Szósta godzina”, w której „stopi się, zginie/smutek - jak w szklance lód”?

Moja żona, Marynia, źle znosi zimę, tęskni za latem i morzem. Lód się topi, kiedy świeci słońce. Chciałem więc oddalić od niej smutek, przenosząc się na koniec albumu do południowego kraju, w porę sjęsty, czyli szóstej godziny od wschodu słońca. Ten utwór nosił zresztą przez długi czas, jeszcze w wersji instrumentalnej, tytuł „Busot” - od nazwy małej miejscowości w Hiszpanii.

To brzmi jak triumf lata nad zimą.

Po co triumf? Pragnąć tego, co się ma - oto najprostsza droga do szczęścia.

Dzień Niepodległości kojarzy nam się z datą 11 listopada i postacią marszałka Piłsudskiego. Jednak dzieło odzyskania wolności to prawdziwy kalejdoskop postaci, miejsc i zdarzeń

Krzysztof Żelazny

ALFABET NIEPODLEGŁOŚCI, CZYLI ZWYCIĘSTWO OD A DO Z

Akt 5 listopada

Deklaracja cesarzy Niemiec i Austro-Węgier ogłoszona 5 listopada 1916 r., mówiąca o odbudowaniu Polski na zdobytych terenach. Wcześniej podobną deklarację złożył rosyjski wielki książę Mikołaj, a po propozycji dwóch cesarzy swoją ofertę Polakom przekazały państwa zachodnie. Amerykanie obiecali nam wówczas „zjednoczoną Polskę”.

Asy przestworzy

Bohaterscy piloci w swych kolorowych maszynach, zdobionych godłami i znakami przynoszącymi szczęście. Piloci, obserwatorzy i strzelcy prowadzący zwiad, zrzucający bomby, a przede wszystkim zwycięzcy walk powietrznych ze słynnym „Czerwonym Baronem” - Manfredem von Richthofenem na czele. Swoich asów przestworzy mieliśmy i my. Na przykład Stefana Steca, który stracił maszynę wroga z nieba, a biało-czerwona szachownica namalowana na jego samolocie stała się pierwowzorem znaku rozpoznawczego polskiego lotnictwa wojskowego.

Baśka Murmańska

Biała niedźwiedzica, którą przyciemni polscy żołnierze z oddziałów sformowanych i walczących w okolicach Murmańska. Umiała chodzić na dwóch łapach i salutować. Po przyjeździe do Polski, defilowała wraz ze swoim oddziałem przed marszałkiem Józefem Piłsudskim. Niestety, podczas spaceru wyrwała się swojemu opiekunowi i padła ofiarą wiedeńskich chłopów z okolic Modlina. Jej wypchana postać została Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Bolszewicy

Władcy Rosji od 7 listopada 1917 r. aż do upadku Związku Radzieckiego. Choć ich ówczesny przywódca Włodzimierz Lenin opowiadał się w teorii za wolną Polską, to w praktyce miał zamiar wraz z Armią Czerwoną nas podbić i ustanowić tu rząd komunistyczny. Próba ta zakończyła się niepowodzeniem w 1920 r. pod Warszawą, Lwowem i nad Niemnem. Kojarzeni z brutalną i prymitywną formą wojny: rabunkami, gwałtami, mordowaniem jeńców i dobijaniem rannych.

Cud nad Wisłą

Bitwa warszawska stoczona w połowie sierpnia 1920 r., zakończona wielkim zwycięstwem Polaków nad bolszewikami. Nie był to jednak cud - to nie Najświętsza Maria Panna rozpędziła wroga, ale polscy żołnierze. Pomogło zła-

manie bolszewickich szyfrów, przerwanie ich łączności radiowej, a także uderzenie na tyły wojsk szykujących się do ataku na Warszawę i twarda obrona na przedpolach stolicy. Całość firmował marszałek Józef Piłsudski, a plany operacyjne rozpisował szef sztabu generalnego gen. Tadeusz Jordan-Rozwadowski. Armiami polskimi dowodzili m.in.: Józef Haller, Władysław Sikorski, Edward Rydz-Śmigły, Zygmunt Zieliński.

Czesi

Nasi południowi sąsiedzi. 31 października 1918 r. pomogli por. Antoniemu Stawarzowi i polskim konspiratorom wyzwolić Kraków z rąk austriackich. Niestety, w styczniu 1919 r. zajęli nam Zaolzie z Czeskim Cieszyńcem (gdzie dominowała ludność polska, a czeska była mniejszością), jak również

część Orawy i Spiszu. Potem w czasie wojny z bolszewikami zgodzili się przepuszczać transporty wojskowe za zrzeczenie się spornych terenów. My się zrzekliśmy, a oni żadnych transportów nie przepuścili.

Dezerterzy

Pod koniec I wojny światowej stanowili poważny problem. Szczęśliwie, większość - podobnie jak w filmie „C.K. Dezerterzy” - próbowała dostać się do swoich domów rozsiadanych po byłych monarchiach, a nie zawsze mogli tak po prostu wyjść sobie z koszar czy okopów i kupić bilet kolejowy.

Dmowski Roman

Polski polityk, zagorzały przeciwnik Józefa Piłsudskiego i Niemców, bardzo ważny uczestnik polskiej delegacji na konferencję pokojową w Wersalu, gdzie z pasją prze-

mawiał, tłumacząc potem siebie na angielski i francuski. Dzięki niemu i premierowi Ignacemu Paderewskiemu alianci rozciągnęli polskie granice na Wielkopolskę i Pomorze Gdańskie oraz nakazali przeprowadzenie plebiscytów narodowościowych na Warmii, Mazurach i Górnym Śląsku.

Ententa

Alianccy zwycięzcy I wojny światowej. W 1914 r. składała się z Francji, Wielkiej Brytanii wraz z terytoriami zamorskimi oraz Rosji. W 1918 r. Rosji w Entencie już nie było, ale za to pojawiły się Stany Zjednoczone, Belgia, Włochy, Japonia, Rumunia, Grecja, Serbia, Portugalia, Brazylia. Część z państw Ententy była odrodzoną Polsce przyjazna, choć głównie dlatego, by osłabić Niemcy.

Entuzjazm

Stan, który ogarnął ludność polską w trakcie wyzwolenia. Podsycały go wywieszane flagi narodowe, zrzucane i rozbijane godła państw zaborczych oraz polskie orły i mundury na ulicach.

Flaga narodowa

Powstała na bazie naszego godła, gdzie biel pochodzi od białego orła, a czerwień od koloru tła. Ustanowiono ją oficjalnie w 1919 r. i obowiązuje do dzisiaj.

Forty

Umocnienia łączące się w twierdze, które czasem budowano całymi latami. Na ziemiach polskich w ręce przeciwników wpadły m.in. twierdze w Przemyślu oraz rosyjskie Osowiec, Dęblin i Modlin. Za to niezwykłą twierdzą pozostał Kraków, u bram którego dwukrotnie rozbito Rosjan w listopadzie i grudniu 1914 r. W 1918 r. większość krakowskich fortów została obrabowana przez rzucające służbę załogi lub okoliczną ludność.

Galicja

Ale nie ta. Jak Polacy mogą domagać się całej Galicji? - dziwił się brytyjski premier David Lloyd George. Przecież Galicja to La Coruña, Santiago de Compostela i Vigo. I gdzie tam są Polacy?

Granice Rzeczypospolitej

Ich tworzenie trwało kilka lat. Bez problemów Polska odzyskała zachodnią część Galicji z Krakowem i okupowane tereny byłego Królestwa Polskiego z Warszawą i Lublinem. Pomorze, choć bez Gdańska, otrzymaliśmy od aliantów, ale o resztę trzeba było walczyć zbrojnie lub w plebiscytach. Plebiscyty poszły nam dość słabo, za to lepiej udały się powstania przeciwko Niemcom na Śląsku i w Wielkopolsce. Galicję Wschodnią i Lwów zdobyliśmy w boju, część Litwy

z Wilnem - w wyniku sprytnego „buntu” polskich żołnierzy pochodzących stamtąd, a granicę wschodnią wywalczyliśmy w wojnie o wszystko z bolszewikami. Straciliśmy za to tereny na rzecz Czechosłowacji.

Hajdamacy

Tak nazywano Ukraińców w czasie walk o Galicję. Historyczny hajdamak był Kozakiem trudniącym się grabieżą, można go było łatwo rozpoznać po wygolonej głowie ze zwisającym kosmykiem włosów oraz spisie (długiej dzidzie) i samopale w rękach.

Hiszpanka

Grypa, która w latach 1918-1919 zabiła 50 mln ludzi na świecie - więcej niż 4-letnie działania wojenne. Pod koniec 1918 r. pojawiła się także w Polsce - we Lwowie, potem w Krakowie i w Warszawie. Szczęśliwie, akurat to nieszczenie obeszło się z Polską bardzo łaskawie i ofiar nie było dużo. Tak naprawdę na cały świat rozprzestrzeniła się USA, a o myłą nazwę długo mieli pretensje Hiszpanie.

Inflacja

Pamiętka po wojnach, konieczności zakupów wojennych i niedoborach licznych towarów. Szybko przerodziła się w hiperinflację, a skutecznie zakończyła ją reforma waluty z 1924 r. i wprowadzenie polskiego złotego.

Jeszcze Polska nie zginęła

„Mazurek Dąbrowskiego” albo „Pieśń Legionów Polskich we Włoszech” według słów Józefa Wybickiego. Oficjalny hymn Polski od 1927 r., choć zastanawiano się również nad „Bogurodzicą”, „Boże, coś Polskę” i „Rotą”.

Jordan-Rozwadowski Tadeusz

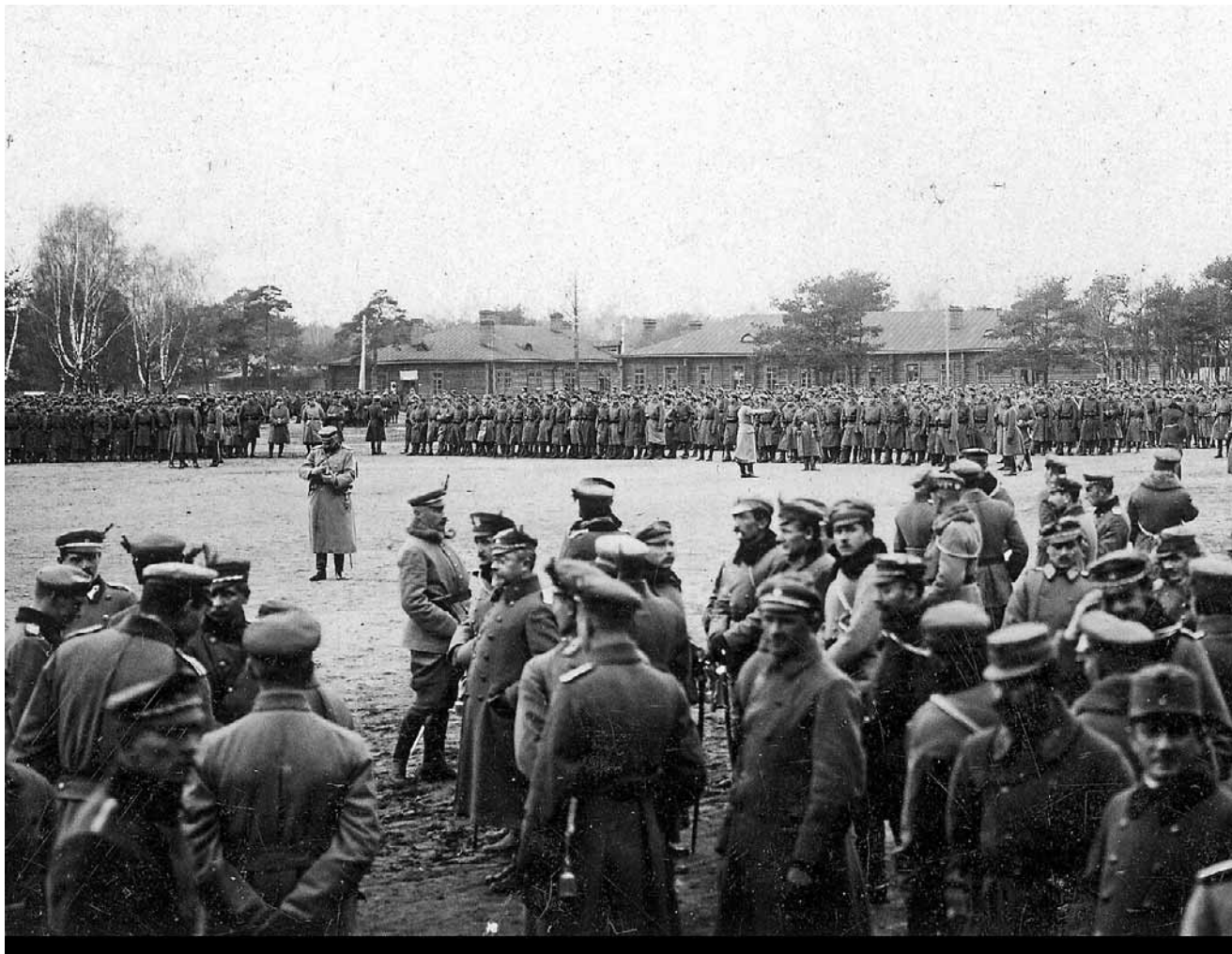
Polski generał wywodzący się z C.K. armii, gdzie zdobył wiedzę wojenną, uznanie i liczne ordery. Dyplomata, uczestnik walk I wojny światowej, innowator użycia artylerii, szef Sztabu Generalnego podczas wojny 1920 r., współtwórca zwycięstwa polskiego pod Warszawą. Prawdopodobnie otruty z przyczyn politycznych po zamachu majowym.

Kościuszkowska eskadra

Amerykańskie podziękowanie za Tadeusza Kościuszkę. 7. Eskadra Myśliwska im. Tadeusza Kościuszki składała się z 21 lotników - ochotników ze Stanów Zjednoczonych oraz kilku lotników polskich. Jej zaczątki sformowano w Krakowie, lotnicy latali na austriackich samolotach myśliwskich Albatros D. III (Oef) i zajmowali się głównie lotami rozpoznawczymi i szturmowymi, w których dali



Józef Piłsudski rozmawia z adiutantem ppłk. Bogusławem Miedzińskim (pierwszy z prawej), gen. Tadeuszem Rozwadowskim (w środku) i gen. Edwardem Śmigłym-Rydzem (stojącym obok marszałka). Rok 1922



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Żołnierze Legionów Polskich na apelu. W I wojnie światowej z Rosjanami walczyły trzy brygady legionistów

się mocno we znaki żołnierzom bolszewickiej Armii Konnej Budionnego. Godła eskadry używał później m.in. Dywizjon 303 w czasie bitwy o Anglię.

Legiony Polskie

Trzy brygady walczące przeciwko Rosji carskiej. Najbardziej znana jest I Brygada, którą długo dowodził Józef Piłsudski, ale w dziele odzyskiwania niepodległości zasłużyły się także II i III Brygady. Ich żołnierzami byli najczęściej ochotnicy z Galicji i Królestwa Polskiego, którzy zgodnie ze słowami „My, Pierwsza Brygada” - stolicę rzucili swój życia los.

Lublin

Siedziba Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej (albo w skrócie: rządu lubelskiego). Rząd trwał krótko, niecałe dwa tygodnie, jego premierem był Ignacy Daszyński i skupiał przedstawicieli partii lewicowych, choć niekomunistycznych. Wydał m.in. dekret o 8-godzinnym dniu pracy, podporządkował się władzom w Warszawie.

Łatgalia

Dawne Inflanty Polskie, obecna część Łotwy. W styczniu 1920 r. rejon wspólnych walk polsko-łotewskich z bolszewikami m.in. o Dyneburg (obecnie: Daugavpils) - stolicę Łatgalii. Mimo przeraźliwego zimna (temperatury dochodziły do 25 stopni poniżej zera), sprzymierzone wojska wyparły Rosjan i przyczyniły się do stworzenia jednej z nielicz-

nych granic przyjaźni II RP - z Łotwą.

Łut szczęścia

Rzecz niezwykle ważna, zwłaszcza dla żołnierzy frontowych w czasie walk. Wielu tego przysłowiowego łutu szczęścia brakło - w latach 1914-1918 w mundurach państw zaborczych poległo 400 tys. polskich żołnierzy, a kolejnych 100 tys. - już w polskich - w latach 1918-1921.

Mannlicher, Mauser, Mosin

Wynalazki wojenne Austriaka Ferdinanda Mannlichera, Niemca Paula Mausera i Rosjanina Siergieja Mosina, czyli trzy karabiny używane przez armie zaborcze. Wszystkie miały podobny kaliber (odpowiednio: 8, 7,92 i 7,62 mm), do środka można było załadować po pięć pocisków. Wszystkich używali Polacy.

Morze Bałtyckie

Obiekt najważniejszych zaślubin polskich 1. poł. XX wieku. W imieniu II Rzeczypospolitej platynowy pierścień wrzucił do Bałtyku gen. Józef Haller, drugi umieszczając sobie na palcu. W wyniku traktatu wersalskiego Polska otrzymała 140 km wybrzeża. Mało, ale zrobiliśmy z niego dobry użytek.

Naród przegrodzony granicami

Poza granicami II Rzeczypospolitej pozostało sporo Polaków, zamieszkujących pań-

stwa sąsiednie - w Niemczech na Śląsku, Pomorzu, Warmii i Mazurach, a także na Litwie, Łotwie, w Czechosłowacji i ZSRR. W samej II RP Polacy byli większością, ale prawie 1/3 społeczeństwa tworzyli mniejszości narodowe, w tym: Ukraińcy, Żydzi, Białorusini i Niemcy.

Ni z tego, ni z owego mamy Polskę na pierwszego

Powiedzenie przypisywane Józefowi Piłsudskiemu, który tak skomentował nagły rozpad państw zaborczych i szybkie przejęcie władzy przez Polaków.

Orleńskie

Młodzi ochotnicy, którzy w łącznej liczbie prawie 1400 walczyli o polski Lwów. Byli wśród nich studenci, ale także uczniowie szkół średnich i powszechnych, najmłodszy miał 9 lat. Poległo 120 uczniów i 76 studentów, Lwów został obroniony, a Orleńskie przez cały okres II RP były symbolem poświęcenia i umiłowania ojczyzny.

Orzeł Biały na czerwonym tle

A dokładniej zgodnie z heraldyką: „w polu czerwonym srebrny orzeł w złotej koronie”. Godło państwowe od 1919 r., zmienione i unowocześnione w 1927 r. Przy okazji, orzeł stracił wówczas krzyż z korony, a na skrzydłach dodano mu rozety. Obecny wzór jest bardzo podobny do tego z 1927 r.

Polska Organizacja Wojskowa

Tajna organizacja wojskowa powstała z inicjatywy Józefa Piłsudskiego w sierpniu 1914 r. Miała służyć do działań wywiadowczych i dywersyjnych, szkolić młodzież i zasilać Legiony. Jej wyszkolone wojskowo kadry ujawniły się w czasie przejmowania władzy od zaborców i stały się podstawą budowy Wojska Polskiego, co miało olbrzymie znaczenie w czasie walk o niepodległość i granice.

Powstania

Początki II RP to najbardziej udany okres dla polskich powstań. Udało się prawie w całości wygrać powstanie wielkopolskie 1918-1919. W mniejszej skali osiągnięto sukces w trzech powstaniach śląskich (1919, 1920 i 1921), ale i tak udało się uzyskać korzystniejsze granice niż przyznawali nam alianci.

Rakowice

Dawna wieś pod Krakowem, teraz integralna część miasta. Miejsce, gdzie 31 października 1918 r. Polacy przejęli z rąk austriackich lotnisko. Dowodzący kpt. Roman Florer wraz z paroma polskimi podwładnymi nie tylko zabezpieczył dla Niepodległej całość sprzętu, budynków i maszyn, ale i szybko zorganizował pierwszą szkołę dla przyszłych lotników, prowadził naprawę maszyn, formował tam kolejne oddziały bojowe i techniczne, które wysyłano na front. Lotnisko w Krakowie-Rakowicach

nazywane jest „kolebką polskiego lotnictwa”.

Ryga

Stolica Łotwy, miejsce podpisania w marcu 1921 r. pokoju kończącego wojnę z bolszewikami. Wytyczono polską granicę wschodnią, a także uzyskano zwrot polskich zabytków, m.in. arrasów wawelskich i Szczerbca. Jednak wynegocjowane przez Polaków 30 mln rubli w złocie, jako zwrot kosztów polskich w budowie gospodarki carskiej, nigdy nie zostało przez Rosjan zapłacone.

Sto dwadzieścia trzy lata

Dokładnie tyle lat trwał brak Polski na mapach Europy i świata z powodu zaborów.

Tank albo czołg

Broń ofensywna, która narodziła się w czasie I wojny światowej. Dzięki naszym francuskim sojusznikom armia polska przez pewien czas była jedną ze światowych potęg pancernych, a pozyskane z nad Sekwany renault FT-17 dawały własnie model czołgu - choć mały i dwuosobowy - wyznaczył kierunek rozwoju broni pancernej. Zastosowana w nim ruchoma wieżyczka z działem jest teraz standardem.

Turcja

Jedyny kraj na świecie, który nigdy nie uznał polskich zaborów. Legenda mówi, że w czasie zaborów, przy prezentacji dyplomatów na dworze sułtańskim mówiono „poseł Lechistanu jeszcze nie przybył”. Gdy poseł wreszcie przybył, Turcy akurat zlikwidowali sułtanat i wprowadzili republikę.

Ułani

A także szwoleżerowie i strzelcy konni to żołnierze, konie, lance z poręczkami, szable i ostrogi. Mieli także karabiny i artylerię konną, do walki stawali pieszo, a koń był głównie środkiem transportu, choć czasem służył do szarż. Odnaczyli się w wojnach, zwłaszcza na wschodzie, gdy w lipcu 1919 r. pokonali Ukraińców pod Jazłowcem, a w sierpniu 1920 r. pod Komarowem Armii Konną Siemiona Budionnego w ostatniej wielkiej bitwie europejskiej kawalerii. Uzbrojenie - brano każde, jakie zdobyto na wrogach lub otrzymano od sojuszników. Ta różnorodność powodowała anegdoty, jak te o byłym oficerze armii austro-węgierskiej, który musiał zająć do regulaminu francuskiego, aby powiedzieć bytemu piechurowi rosyjskiemu, jak załadować była brytyjską amunicją były niemiecki karabin.

Versailles, czyli po polsku Wersal

Miejscowość pod Paryżem, dawna rezydencja królewska,

gdzie obradowali przedstawiciele państw zwycięskich, z udziałem delegacji polskiej, i radzili, jak ustanowić bezpieczny świat po wojnie. Odbywało się to głównie kosztem pokonanych Niemiec, którym zabierano terytoria, broń, ograniczono armię i narzucono potężne reparacje wojenne.

Virtuti Militari

Z łaciny „Męstwo Wojskowe”, odznaczenie z czasów I RP, przywrócone w II RP. Krzyż Wojenny Orderu Wojennego dzieli się na 5 klas i jest najważniejszym polskim odznaczeniem wojennym. W 1920 r. wprowadzono Krzyż Walecznych, aby nagradzać odwagę żołnierzy, ale Virtuti Militari zostawiać na szczególne okazje.

Wiedźma

„Macocho Austria-Wiedźma (...) zmarła po ciężkich kurczach na uwiad starczy, przeklęta przez wszystkich, którzy mieli nieszczęście z nią się zetknąć. (...) Niech odpoczywa w wiecznym spokoju i niechaj nigdy nie doczeka się zmartwychwstania. Polacy, Czecho-Słowacy, Jugosłowianie”. Takiej treści ironiczne klepsydry pojawiły się przed kościołami tuż po wyzwoleniu.

Wilson Thomas Woodrow

Prezydent Stanów Zjednoczonych, którego 14 punktów - celów USA w I wojnie światowej - ogłoszonych w styczniu 1918 r. stało się podstawą traktatu wersalskiego. Dla nas najważniejszy był punkt 13., mówiący o stworzeniu niepodległego państwa polskiego z dostępem do morza. Po wojnie organizował pomoc żywnościową dla Polski, a obecnie zdobi niebędące w obiegu banknoty o nominale 100 000 dolarów.

Z jak zwycięstwo

Gdy zakończyła się I wojna światowa i wojna o granice Rzeczypospolitej, Polska była wolna, lecz potwornie zniszczona. Przez kraj parę razy przetoczył się front, niektóre miasta, jak Gorlice czy Kalisz, leżały w gruzach, wycofujący się Rosjanie ewakuowali całe fabryki i zostawiali za sobą spaloną ziemię, a następujący Niemcy prowadzili gospodarkę rabunkową. Oprócz wielkich strat ludzkich, Polakom ubyło prawie milion sztuk koni i 2 mln sztuk bydła, więc groźba głodu była całkiem realna. Dodatkowo, początek niepodległego bytu to 6 różnych walut w obiegu, 4 języki komend w wojsku, 3 kodeksy prawne, 2 rodzaje torów kolejowych i - w zależności od byłych zaborów - obowiązujący lewo- lub prawostronny ruch drogowy.

Wielka ucieczka hrabiego Lwa Tołstoja

Nocą 10 listopada 1910 r. 82-letni hr. Tołstoj – najwybitniejszy pisarz i autorytet moralny Rosji – uciekł ze swego majątku Jasna Polana pod Tułą

Mariusz Grabowski

To, dlaczego to zrobił stanowi wciąż historyczno-literacką zagadkę. Zwłaszcza, że ucieczka nie trwała długo – 20 listopada znaleziono go martwego na małej stacji kolejowej Astapowo. Co hr. Tołstoj robił podczas ucieczki? A przede wszystkim dlaczego uciekł?

Kierunek: byle dalej

Jedną z najpopularniejszych wersji tej historii mówi, że hr. Lew uciekł od żony. Pamiętnej nocy, obudzony się o godz. 3 nad ranem zobaczył Sofię Andriejewnę, przetrząsającą papiery w jego gabinecie. Przez godzinę przewracał się w łóżku, ale wzburzenie nie pozwalało mu zasnąć. Wreszcie podjął decyzję. Wstał, napisał pożegnalny list do żony, po czym obudził ukochaną córkę Aleksandrę oraz lekarza i przyjaciela Duszana Makowickiego i poprosił o spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy.

Po jakiejś godzinie kazał zaprzęgać i wraz z Makowickim w największej tajemnicy opuścili Jasną Polanę jadąc w kierunku stacji kolejowej w Szczekinie, gdzie wsiadli do pociągu. Aleksandra pozostała na miejscu, trzymać rękę na pulsie, kontaktować się z ojcem, a w sprzyjających okolicznościach dołączyć do zbiega.

Żona kontra Czertkow

Teoria jest spójna, choć nie do końca zrozumiała. Kim była żona Tołstoja, że aż tak panicznie się jej bał? Paweł Basiński, autor książki „Lew Tołstoj Ucieczka z rajów”, dowodził że Sofia Andriejewna owszem, miała skomplikowany charakter, niejednokrotnie straszyla męża, że się zabije, ale nie był to powód ucieczki.

„Dla mnie Sofia była postacią heroiczną – twierdził Basiński w wywiadzie dla PAP w 2016 r. – Poza dziećmi i gospodarstwem zajmowała się przepisywaniem po kilka razy utworów Tołstoja, była też wydawcą dzieł męża. Ale ostatni rok ich wspólnego życia w Jasnej Polanie to było rzeczywiście piekło. W życiu Tołstoja pojawił się przyjaciel duchowy – Władimir Czertkow, wydawca

jego dzieł za granicą i stał się dla pisarza bliższą duchowo osobą niż żona” – dodawał.

Pojawienie się Czertkova mogło być momentem przełomowym. Chodziło tu bowiem o kwestie finansowe. Za prawa autorskie do dzieł Tołstoja wydawcy zagraniczni proponowali żonie 10 mln rubli w złocie, a rodzina miała problemy finansowe – synowie nie stronili od gry w karty i cały czas prosili matkę o pieniądze.

Tymczasem Tołstoj miał swoją ideę, skądinąd zupełnie fantastyczną, żeby prawa autorskie do jego dzieł „oddac społeczeństwu”, żeby można było je wydawać bez opłat. Uważał, że pieniądź jest zły, „źle działa na ludzi i trzeba mieć z nim jak najmniej do czynienia”.

Skutek był taki, że Sofia Andriejewna dysponowała prawami do jego dzieł napisanych do 1891 r., zaś wszystko, co powstało po tej dacie, było publikowane bezpłatnie. Czertkow popierał wolę pisarza i namówił Tołstoja, aby w tajemnicy przed żoną, w lesie, podpisał testament przenoszący prawa autorskie na córkę Saszę, która trzymała stronę ojca przeciwko matce.

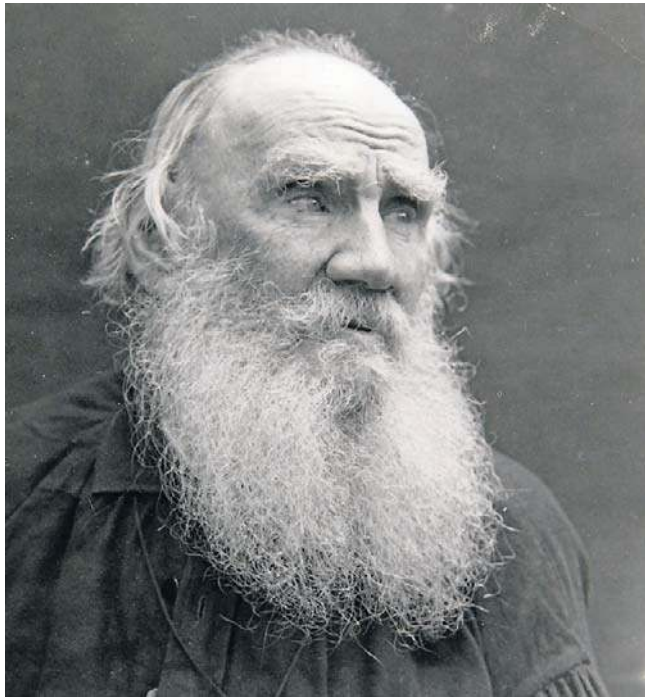
Czy strach przed tym, że tajemnica testamentu wyjdzie na jaw i dojdzie do awantury z żoną, był jednym z powodów ucieczki Tołstoja? Tego się zapewne nie dowiemy. Biografowie pisarza twierdzą, że „bał się jej nieco na pokaz”.

Zofia, młodsza od pisarza o 16 lat, była dobrą żoną i panią domu, matką jego 13 dzieci. Angażowała się w pracę męża, przepisywała jego rękopisy, zabiegała o ich wydanie. Pozostawała też kobietą praktyczną, dbającą o interes rodziny. Na duchową przemianę męża spoglądała ze zdumieniem.

Czy przeskakiwała po nocach biurko męża? Jeśli tak, to szukała zapewne owego feralnego testamentu, który uważała – poniekąd słusznie – za nieodpowiedzialną fanaberię.

Kolejowa konspiracja

Przenieśmy się na stację w Szczekinie. Tołstoj i Makowicki cierpliwie czekali tam



Jedną z najpopularniejszych wersji tej historii mówi, że Tołstoj uciekł od żony

na pociąg, ale musieli wiedzieć, że ich ucieczka okazała się wielką improwizacją. Z informacji zebranych już po fakcie wiemy, że hr. Tołstoj myślał o Kaukazie, a nawet o wyjeździe do Bułgarii, gdzie, jak sądził, byłby mniej rozpoznawalny niż w Rosji.

Szybko jednak zmienił zdanie i postanowił najpierw odwiedzić swoją siostrę Marię Nikołajewnę, mniszkę w klasztorze w Szamordinie pod Kozielskiem. I to tam pojechali pierwszym porannym pociągiem. Świadomi tego, że informacja o ich eskapadzie już się zapewne rozniosła przesiedlił się w Gorbaczewie. Mogli omijając tym samym Tułę i Moskwę, gdzie łatwiej byłoby o ich dekonspirację.

Do Kozielska dotarli pod wieczór, a stamtąd, wynajętym na stacji powozem, pojechali do Pustelni Optyńskiej, męskiego klasztoru w drodze do Szamordina. Przenocowali w przyklasztornej gospodzie. Przed spoczynkiem Tołstoj napisał do Aleksandry list. Prosił w nim o przysłanie rękopisu, nad którym pracował.

10 dni wolności

W Szamordinie stało się coś dziwnego. Oto przyjechała tam

gazety, w których napisano już o jego ucieczce i jej trasie. Stało się jasne, że próba zniknięcia nie udała się”.

„W Astapowie pisarz czuł się już na tyle źle, że zatrzymał się w domu naczelnika stacji; okazało się, że ma zapalenie płuc. Przyjechała rodzina, także żona – Sofia Andriejewna, ale nie dopuszczono jej do chorego, w trosce o jego nerwy i serce. Na kadrach kroniki filmowej widać, jak Sofia Andriejewna próbuje wejść do pokoju, gdzie leżał Tołstoj, ale ich córka – Sasza – zagraża jej drzwi. Cała ostatnia podróż Tołstoja trwała 10 dni” – dodaje Basiński w wywiadzie.

Jak w klatce

Z kolei goszcząc w Polskim Radiu po premierze swej książki Basiński pokusił się o inną teorię wyjaśniającą ucieczkę hr. Tołstoja. „On wyjeżdżał po to, aby zacząć nowe życie w nowej jakości (...) już od młodości podejmował takie próby. Podobnie jak symulacje samobójstwa”.

Wróćmy do wątku egzystencjalnego, który pojawił się w liście hr. Tołstoja do żony. Podobny motyw podkreślił m.in. Gustaw Herling-Grudziński w rozmowie z Włodzimierzem Boleckim z tomu „Rozmowy w Neapolu”. Grudziński zauważył, że Tołstoj ucieka „od samego siebie – od siebie, którego nie może już znieść”. Wedle niego miał to być epizod „ostatniego przebudzenia się umierającego Tołstoja”.

A zatem to nie była ucieczka od żony-jędzy, ale od dotychczasowego życia. Zbyt oddalonego od jego ideałów. Faktycznie, realia Jasnej Polany odbiegały od przeciętności: życie hr. Tołstoja wciąż przerywali dziennikarze i ciekawscy, wszędzie go rozpoznawano, a wszechobecni wielbiciele nie dawali odechnąć. Dochodziło niemalże do stenografowania kłótni domowych, a Makowicki potrafił, towarzysząc Tołstojowi na spacerze, „notować jego słowa ręką schowaną w kieszeni”.

Nadchodzi „czas Bestii”

Mamy więc ucieczkę od małżonki, od siebie samego,

od zmarnowanych ideałów, ale to wcale nie koniec. W „Śmierci lwa”, wierszu pochodzącym z tomu „Elegia na odejście” nad naszym bohaterem pochyla się Zbigniew Herbert. W poetyckiej wizji poety za uciekinierem z Jasnej Polany gonią wszyscy: „synowie córki/dworscy przybłędy/ stójkowi popi/ emancypantki/ umiarkowani anarchiści/ chrześcijanie analfabeci/ tołstojowsky Kozacy/ i wszelaka swolocz”.

Dla Herberta – pisze Maciej Jaworski w rozprawie „Ucieczka z Jasnej Polany w literaturze polskiej” – czyn hr. Tołstoja to procrouto, zapowiedź dotyczy nieszcześc XX w., „czasu Wielkiej Bestii”, „czasu ściganego”. „Obok tragicomicznego piekła życia codziennego istnieje infernalny wymiar historii, który ujawnił się w kilka lat po słynnym epilogu biografii pisarza. Śmierć Lwa oznacza koniec XIX stulecia” – twierdzi autor.

Z niewygody

Dodajmy jeszcze jedną interpretację, tym razem autorstwa Adolfa Rudnickiego. W 1949 r. napisał on „Ucieczkę z Jasnej Polany, socrealistyczną próbę wyjaśniania naszej zagadki. Okazało się, że hr. Tołstoj zwiózł z Jasnej Polany, bo był uświadomionym antyfaszystą, a jednocześnie niespełnionym ideowo „przewodnikiem wspólnoty”.

Na koniec oddajmy głos Pawłowi Basińskiemu, który w „Ucieczce z rajów” zauważa: Rosjanie zawsze mieli problem z Tołstojem. Był trochę anarchistą, władzę uważał za zło, nawoływał do odmawiania służby wojskowej i piętnował wszelki zbytek. Obstawał jednak przy tym, że na zło nie wolno odpowiadać złem – jedynie miłością. Przed śmiercią został objęty oficjalną ekskomuniką, ponieważ twierdził, że Cerkiew i państwo są zepsute i sprzeniewierzają się prawdziwemu chrześcijaństwu. Pomimo podejmowanych starań do końca się nie nawrócił”.

A zatem hr. Tołstoj był po prostu niewygodny. Dla siebie i świata. Może dlatego uciekł?

pod PARAGRAFEM

KSIEGARNIA

Marlowe w wersji melancholijnej

W sprzedaży jest już „Playback” Raymonda Chandlera, w nowym tłumaczeniu Bartosza Czartoryskiego (wyd. Karakter). Philip Marlowe ma śledzić młodą kobietę, ale szczegóły zlecenia są niejasne. Detektyw wyjeżdża z Los Angeles i trafia do kurortu Esmeralda. Szybko zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie gra po niewłaściwej stronie. W dodatku on też jest śledzony.

ZA TYDZIEŃ

Przedwojenne żydowskie gangi w akcji

Handel żywym towarem i kontrola rynku seks usług stanowiła domenę polskich Żydów. Był towstydliwy problem tej społeczności.



FOT. CC

Czarny Czwartek. Komuniści masakrują ludzi na Wybrzeżu

Lucjan Strzyga
redakcja@polskatimes.pl

17 grudnia 1970 roku wobec strajkujących robotników na Wybrzeżu PRL-owskie władze postanowiły użyć wojska. Skończyło się masakrą w Gdyni i Szczecinie.

Strajki i demonstracje rozpoczęły się już 14 grudnia. Wybuchły po tym, jak władze zdecydowały się na podniesienie cen artykułów spożywczych nawet o kilkadziesiąt procent. Najpierw zastrajkowali robotnicy ze Stoczni Gdańskiej im. Lenina, potem fala rozeszła się dalej.

Skala protestów zaskoczyła komunistów. 14 grudnia robotnicy Stoczni Gdańskiej im. Lenina odmówili podjęcia pracy i tłum przed południem udał się pod pobliską siedzibę Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Robotnicy zażądali spotkania z ówczesnym pierwszym sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR Stanisławem Kociołkiem, a od dyrektora stoczni Stanisława Zaczka podjęcia negocjacji w sprawie cofnięcia podwyżek. Reakcja władz była stanowcza: postulaty zostały zignorowane i jeszcze tego dnia doszło do pierwszych starć z MO.

Padają strzały

Następnego dnia, 15 grudnia, ogłoszono strajk powszechny. Przyłączyły się do niego inne gdańskie przedsiębiorstwa, robotnicy ze Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni oraz pracownicy elbląskiego Zamechu. Ukonstytuował się też pierwszy komitet strajkowy: Zbigniew Jarosz (przewodniczący), Jerzy Górski (zastępca przewodniczącego), Stanisław Oziębło, Ryszard Podhajski, Kazimierz Szoloch, Lech Wałęsa i Zofia Zejser.

Żądano m.in. uwolnienia aresztowanych wcześniej działaczy. Robotnicy kontynuowali marsz i przemierzając się pod budynek KW PZPR na wcześniej zapowiedziany wiec, napotkali oddziały MO. Władze, nie chcąc dopuścić demonstrantów pod budynek partii, podjęły decyzję o użyciu pałki i gazu łzawiącego. W efekcie



Wojsko na ulicach Gdańska, grudzień 1970 r. W wyniku pacyfikacji na Wybrzeżu zginęło co najmniej 45 osób, a 1165 zostało rannych

doszło do walk ulicznych i starć z milicją, a w końcu, późnym wieczorem 15 grudnia, do podpalenia budynku KW PZPR w Gdańsku. Ogłoszono strajk okupacyjny, a wojsko i MO zablokowały stocznię.

W samym mieście trwały gwałtowne starcia z milicją. Około 16 przed dworcem kolejowym został zastrzelony przez snajpera przypadkowy człowiek. Świadkowie twierdzili, że strzał padł od strony wiaduktu Błędnik, gdzie nie było wtedy ani wojska, ani milicji, musiał więc strzelać snajper, ulokowany prawdopodobnie w wieżowcu Centrum Techniki Okrętowej przy Błędniku.

Wojsko na ulicach

Przez cały dzień 16 grudnia strajk rozszerzał się na kolejne zakłady na Wybrzeżu. Stocznia Gdańska została otoczona przez wojsko. Ludzie, którzy próbowali się do stoczni zbliżyć, byli brutalnie bici. Nad ranem, gdy stoczniovcy przez bramę nr 2 próbowali wyjść na miasto, aby po raz kolejny wziąć udział w demonstracjach, zostali ostrzelani przez milicjantów. Według oficjalnych ustaleń zginęły wówczas kolejne dwie osoby, a 11 zostało rannych. Strajkujący wycofali się na teren swojego zakładu.

Tego dnia do Trójmiasta wkroczyło też wojsko, na ulicach pojawiły się czołgi i transportery. Kierujący akcją pacyfikacji Wybrzeża członek Biura Politycznego KC PZPR Zenon Kliszko oświadczył dyrektorowi i członkom stoczniovcy partii: „Mamy do czynienia z kontrewolucją i nieważne jest, że zginie 200 czy więcej stoczniovców. Stocznia zostanie zburzona, a na gruzach starej zbudujemy nową”.

Czarny Czwartek

17 grudnia władze zdecydowały się wykorzystać wojsko do tłumienia zamieszek. W wyniku starć wiele osób po obu stronach zostało poszkodowanych. Rano, na przystanku Szybkiej Kolei Miejskiej Gdynia Stocznia, oddziały milicji i wojska ostrzelały tłum pracowników Stoczni im. Komuny Paryskiej.

Według ustaleń prokuratury śmierć poniosło ok. 10 osób. Ludzie nie mieli gdzie uciekać. Zginęli m.in. Brunon Drywa, Zbigniew Godlewski, Jan Kałużny, Jerzy Kuchcik, Stanisław Lewandowski, Zbigniew Nastala, Józef Pawłowski, Ludwik Piernicki, Jan Polechoński, Zygmunt Polito i Stanisław Sieradzan.

W centrum Gdyni uformowano pochód z biało-czerwonymi flagami, który ruszył uli-

camy 10 Lutego i Marchlewskiego w kierunku przystanku Gdynia-Stocznia, gdzie stał się z wojskiem. Rozproszony pochód zebrał się ponownie na ul. Czerwonych Kosynierów i ruszył do centrum Gdyni. Na czele pochodu niesiono na drzewach ciało jednego z zabitych - Zbyszka Godlewskiego, za nim niesiono pomazane krwią flagi. Godlewski do grudniowej legendy przeszedł jako tytułowy bohater „Ballady o Janku Wiśniewskim”.

W tym samym czasie demonstracje trwały także na ulicach Słupska i Elbląga. Do strajkujących włączyli się pracownicy Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, którzy z tysiącami ludzi demonstrowali w mieście, a wobec których wojsko i milicja użyły siły, kiedy protestujący podpalił gmach KW PZPR. Do tłumy zaczęło strzelać wojsko: śmierć poniosło 16 osób, w tym wiele młodziarzy oraz osoby przypadkowo znajdujące się przy terenie protestu.

„Bałem się krzyzczeć”

Dokładny przebieg wydarzeń, które doprowadziły do Czarnego Czwartku, przedstawił później Konrad Tatarowski na antenie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w audycji

„Jeden dzień w Gdyni - czwartek, 17.12.1970”. Program powstał w oparciu o dokumenty zgromadzone przez Sekcję Historyczną „Solidarności”. Autor zawarł w nim relacje naocznych świadków i uczestników tragedii.

„Najpierw poszła seria z pocisków świetlnych, potem był wystrzał z czołgu, ale wtedy już żeśmy ruszyli. Milicja strzelała pod nogi, co dawało rykoszety od kocich łbów. Wtedy powstają najgorsze rany. Obok mnie jeden dostał w krtań, drugi w nogę” - wspominał Stanisław Kodzik.

Inny uczestnik wydarzeń mówił tak: „Byłem w tłumie i nagle zostałem trafiony w nogę. Bałem się nawet krzyzczeć, prosić o pomoc. (...) Na jednej nodze doskakałem do wiaduktu, odstąpiłem nogę i już mi się słabo robiło, więc zacząłem krzyzczeć o pomoc. Ludzie zanieśli mnie do taksówki. Z przodu siedział facet postrzelony w bark, a obok mnie mężczyzna, który strasznie krzyczał, że go boli. Nagle przestał krzyzczeć, dostał drgawek. Wziąłem go za rękę, a on się obsunął nieżywy”.

Tragiczna statystyka

Tłumiąc protesty na Wybrzeżu, wojsko i milicja wykazały się niezwykłą brutalnością. W sumie zginęło 45 osób, 1165 odniosło rany, ponad 3 tys. zostało zatrzymanych. Pogrzeby ofiar odbywały się wieczorem lub w nocy, potajemnie, mogła w nich uczestniczyć tylko najbliższa rodzina. We wszystkich objętych zamieszkami miastach obowiązywały stan wyjątkowy i godzina milicyjna.

Władze przez wiele lat ukrywały liczbę ofiar, cenzura ograniczała wszelkie informacje na ten temat. Niejasna jest także sprawa wydania rozkazu strzelania do robotników - większość partyjnych notabli z tamtego okresu już nie żyje.

Do pacyfikacji robotniczych protestów użyto 27 tys. żołnierzy, 550 czołgów, 750 transporterów opancerzonych, 108 samolotów i śmigłowców oraz 40 łodzi patrolowych Marynarki.

W walkach użyto prawie 80 tys. pojemników z gazem. Podczas starć z milicją i wojskiem zniszczono 19 obiektów użyteczności publicznej, w tym gmachy KW PZPR w Gdańsku i Szczecinie.

Z dokumentów IPN wynika, że grudniowe zajścia nie ograniczyły się do Wybrzeża. Do demonstracji i strajków doszło także w Krakowie, Wałbrzychu i innych miastach. Według ustaleń historyków w głębi kraju strajkowało wtedy ponad 20 tysięcy osób.

Kto był odpowiedzialny?

Komuniści starali się za wszelką cenę zatrzeć prawdę o wydarzeniach grudniowych. Mimo to dekadę później, kiedy przez cały kraj przetoczyła się wielka fala strajków, jednym z pierwszych postulatów protestujących było upamiętnienie zamordowanych. Dzięki temu 16 grudnia 1980 roku, zaledwie po trzech miesiącach prac, na placu przed Stoczną Gdańską uroczystie odsłonięto pomnik Poległych Stoczniovców - pierwszy w bloku komunistycznym pomnik ofiar tego reżimu, a zarazem symbol walki o wolność.

Historycy wciąż zastanawiają się, dlaczego władza wprowadziła podwyżki akurat przed świętami Bożego Narodzenia. Nawet bowiem dla komunistycznych aparatczyków musiało być oczywiste, że wywoła to protesty. Niektórzy uważają, że robotnicze protesty mogły zostać sprowokowane przez twardogłowych członków KC PZPR pod wodzą Mieczysława Mocza-ra, niektórzy sądzą zaś, że być może sytuację na Wybrzeżu sprowokowali Sowietci, chcąc pozbyć się Gomułki. Faktycznie, 20 grudnia 1970 r. na funkcję I sekretarza KC PZPR został wybrany Edward Gierek.

Prof. Jerzy Eisler, badacz najnowszych dziejów Polski, przyznaje, że wiele podejmowanych wówczas decyzji nosiło znamiona prowokacji. Prowokacji, która doprowadziła do śmierci wielu niewinnych ludzi.

PKO BP Ekstraklasa Łódzki Widzew nadal ma problem z poukładaniem gry

Zaskakujące porażki „Pasów” i Górnika, przełamanie Piasta

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

W meczach 15. kolejki PKO BP Ekstraklasy nie zabrało niespodzianek. Radomiak niespodziewanie rozbił Cracovię, a Zagłębie Lubin ograło rozpedzonego wcześniej Górnika Zabrze.

Na uwagę zasługują też przełamanie Piasta Gliwice pod wodzą niedawno zatrudnionego szkoleniowca oraz kolejne zwycięstwo Lechii Gdańsk: tym razem nad mającym wielkie aspiracje - ale chyba jeszcze większe problemy - Widzewem.

Wisła niepokonana, ale i wyhamowana

Mając szansę mocno zbliżyć się do lidera tabeli Wisła Płock tylko zremisowała w wyjazdowym starciu z Motorem Lublin. Mecz ten - nieoczekiwanie - okazał się dla Nafciarzy nie lada wyzwaniem, bo warto odnotować, że gospodarze mieli swoje szanse na wyższe prowadzenie, zanim ekipa z Płocka doprowadziła do remisu.

Wisła pozostaje niepokonana od 6 meczów, jednak większość z tych spotkań zakończyła się remisami, co wpłynęło na znaczne spowolnienie zbierania punktów w ostatnich tygodniach i odbija się na miejscu w tabeli.

Przypadki Górnika potwierdzają... jakość
Górnik Zabrze doznał pierwszej porażki od 30 sierpnia.



Goncalo Feio trzeba oddać, że z miejsca podbudował mental zawodników Radomiaka

Mecz w Lubinie obfitował w indywidualne błędy, które kosztowały zabrzańskie cenne „oczka”. Porażka podopiecznych Michała Gasparika oznacza, że między ekipą z Zabrze a wyżej wspomnianą płocką Wisłą są już tylko trzy punkty różnicy.

To pokazuje także, jak bardzo wyrównany jest poziom rywalizacji w obecnym sezonie w naszej najwyższej lidze oraz nadspodziewanie wysoką jakość zespołów z aktualnej ścisłej czołówki.

Bobcek nie zwalnia tempa

Znajdująca się w strefie spadkowej Lechia Gdańsk odniosła bardzo ważne zwycięstwo nad drużyną, która

wciąż nie spełnia wielkich oczekiwań. Bohaterem meczu został słowacki napastnik Tomasz Bobcek, który zdobył obie bramki dla Lechii. Snajper gdańszczan z dorobkiem 9 trafień jest liderem klasyfikacji strzelców rozgrywek. Widzew sezon uratować może już chyba tylko w Pucharze Polski, ale w Imprezie Tysiąca Drużyn też nie może liczyć na taryfę ulgową.

Myśliwiec zaczyna odwracać losy

Tymczasem Piast Gliwice odniósł dopiero drugie zwycięstwo w tym sezonie PKO BP Ekstraklasy, a pierwsze pod wodzą trenera Daniela Myśliwca. W Katowicach pierwsza połowa świetnie

ułożyła się dla gliwiczian, którzy na przerwę schodzili z dwubramkową przewagą na GieKSę. Po przerwie oba zespoły zadały po ciosie i z triumfu w derbowym starciu cieszyli się piłkarze Piasta.

Feio odbudował mental Radomiaka

Cracovia, która jeszcze niedawno plasowała się w ścisłej czołówce tabeli, zaliczyła trzecie kolejne spotkanie bez zwycięstwa. Tym razem lepszy - i to zdecydowanie - okazał się Radomiak prowadzony od niedawna przez Goncalo Feio. Radomianie pod wodzą Portugalczyka mają na koncie już dwa zwycięstwa i solidnie podbudowany mental.

15. KOLEJKA EKSTRAKLASY

RADOMIAK - CRACOVIA 3:0

Bramki: Capita 48, Grzesik 64, Alves 90+2 - karny

KGHM ZAGŁĘBIE LUBIN - GÓRNIK ZABRZE 2:0

Bramki: Rocha 13, Kocaba 50

LECHIA GDAŃSK - WIDZEW ŁÓDŹ 2:1

Bramki: Bobcek 59, 90+6 - Bergier 50

MOTOR LUBLIN - WISŁA PŁOCK 1:1

Bramki: Ronaldo 4 - Edmundsson 77

GKS KATOWICE - PIAST GLIWICE 1:3

Bramki: Klemenz 90 - Drapiński 22, Klemenz 25 - samobójcza., Jirka 75

1. Górnik Zabrze	15	29	26-14
2. Wisła Płock	14	26	19-10
3. Jagiellonia Białystok	13	24	25-17
4. Radomiak Radom	15	22	28-24
5. Cracovia Kraków	14	22	21-17
6. KGHM Zagłębie Lubin	14	21	27-18
7. Lech Poznań	13	21	22-20
8. Korona Kielce	14	20	16-12
9. Raków Częstochowa	13	20	16-17
10. Legia Warszawa	13	17	15-13
11. Widzew Łódź	15	17	22-23
12. Pogoń Szczecin	14	17	20-25
13. GKS Katowice	15	17	21-27
14. Motor Lublin	14	16	19-24
15. Arka Gdynia	14	15	10-25
16. Lechia Gdańsk	15	13	25-32
17. Piast Gliwice	13	11	13-16
18. Bruk-Bet Termalica	14	10	17-28

W przypadku równej liczby punktów o kolejności w tabeli decydują bezpośrednio mecze. Lechia Gdańsk ukarana odjęciem 5 punktów za zaległości finansowe.

Program 16. kolejki

Piątek, 21 listopada:

Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Arka Gdynia (godz. 18.00), Górnik Zabrze - Wisła Płock (godz. 20.30).

Sobota, 22 listopada:

Cracovia - Motor Lublin (godz. 14.45), Raków Częstochowa - Piast Gliwice (godz. 17.30), Lechia Gdańsk - Legia Warszawa (godz. 20.15).

Niedziela, 23 listopada:

Jagiellonia Białystok - GKS Katowice (godz. 12.15), Lech Poznań - Radomiak Radom (godz. 14.45), Widzew Łódź - Korona Kielce (godz. 17.30).

Poniedziałek, 24 listopada:

Pogoń Szczecin - KGHM Zagłębie Lubin (godz. 19.00).

JEDENASTKA KOLEJKI



NAJLEPSI STRZELCY

9 goli

Tomáš Bobček (Lechia Gdańsk)

8 goli

Ješús Imaz (Jagiellonia Białystok)

7 goli

Filip Stojilković (Cracovia), Ousmane Sow (Górník Zabrze), Mikael Ishak (Lech Poznań), Karol Czubak (Motor Lublin), Leonardo Rocha (Raków Częstochowa/KGHM Zagłębie Lubin), Sebastian Bergier (Widzew Łódź)

BOHATER WEEKENDU

Tomáš Bobček (Lechia Gdańsk)

Napastnik gdańskiej Lechii po raz kolejny pokazał, że potrafi odnaleźć się w polu karnym przeciwnika. Przy pierwszym trafieniu świetnie wyskoczył zza pleców obrońcy, natomiast przy drugiej bramce znakomicie uderzył głową. Wydaje się, że Słowak w przyszłym roku ruszy na podbój mocniejszej ligi.



FOT. PAP/MARCIN GADOMSKI

Michał Gasparik ocenił: Błąd bramkarza miał kluczowe znaczenie dla losów meczu

Łukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

Porażka lidera w Lubinie i udany początek pracy Goncalo Feio w Radomiu - między innymi te wydarzenia przykuwały uwagę piłkarskich kibiców w ostatnich dniach.

Nieco ponad dwa miesiące minęły od momentu, gdy po raz ostatni Górnik Zabrze schodził z boiska pokonany. Dobra seria została przerwana chyba w naj-

mniej spodziewanym momencie - w wyjazdowym starciu z Zagłębiem. Od zespołu, który ograł w październiku Jagiellonię Białystok i Legię Warszawa, wymagać należy znacznie więcej niż na początku sezonu.

- Wiedzieliśmy, że to ciężki teren, a Zagłębie posiada specyficzny styl gry. Decydujący był błąd, gdy futbolówka wypadła z rąk Łubikowi - po nim mecz układał się tak jak chciał rywal. Stwarzaliśmy sytuacje, ale brakowało nam skuteczności. Zwycięstwo gospodarzy

było w pełni zasłużone - przyszedł po spotkaniu opiekun Górnika Michał Gasparik.

Trener gości nawiązał w wypowiedzi do sytuacji, po której padła pierwsza bramka dla Zagłębia. Zabrzeński golkiper w niegroźnej sytuacji nie opamiętał się, z czego skwapliwie skorzystali rywale.

- Jest to dla nas bardzo dobry wieczór. Zwycięstwo nad liderem ekstraklasy bardzo cieszy. Brawa dla chłopaków, walczaliśmy dziś bardzo dobrze w obronie - nie ukrywał rado-

ści szkoleniowca drużyny z Lubina Leszek Ojrzyński.

Powody do zadowolenia mają także w Radomiu. Zmiana trenera daje na razie odpowiednie rezultaty. Pod wodzą Goncalo Feio Radomiak wygrał drugi mecz - tym razem w pokonanym polu zostawił Cracovię, a więc zespół jeszcze niedawno uważany za rewelację sezonu.

- Chcieliśmy pokazać coś kibicom, którzy dziś pojawili się na stadionie, by uwierzyli w tę drużynę. Dziękuję piłkarzom,

którzy pokazali ambicję. Uważam, że zasłużyliśmy na to zwycięstwo - ocenił portugalski szkoleniowiec, dodając, że jego zespół zrobił krok naprzód, jeśli chodzi o pressing, kompaktowość, grę na połowie rywala i w ataku pozycyjnym.

Wściekłości z postawy swoich podopiecznych nie ukrywał natomiast opiekun Cracovii Luca Elsner.

- Zagraliśmy tragiczny mecz. Wyglądaliśmy bardzo źle, zachowywaliśmy się, jakby na boisku wszystko nam się należało.

Trzeba zmienić nastawienie. Od teraz każdy zaczyna od zera, nikt nie ma kredytu zaufania - złościł się Słoweniec.

Frustracja trenera „Pasów” jest zrozumiała. Jego zespół nie wygrał żadnego z czterech ostatnich meczów (wliczając w to spotkanie w Pucharze Polski), a w Radomiu po raz trzeci z rzędu nie strzelił gola. Po sobotnim meczu podopieczni Elsnera osunęli się w tabeli poza miejsca dające prawo gry w europejskich pucharach.

© ©

Kadra Urbana z debiutantami na Holandię i Malte

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

Dzisiaj rozpocznie się zgrupowanie reprezentacji Polski przed ostatnimi meczami w tym roku - z Holandią i Malta w eliminacjach mistrzostw świata.

Biało-Czerwoni najpierw podejmą Holandię w piątek, 14 listopada, na Stadionie Narodowym w Warszawie, a następnie zmierzą się na wyjeździe z Malta w przyszły poniedziałek, 17 listopada, na Stadionie Narodowym Ta' Qali w Attard.

Reprezentacja Polski obecnie jest wiceliderem tabeli grupy G. W najbliższych meczach muszą zdobyć jak najwięcej punktów, ponieważ wciąż walczą o rozstawienie w barażach i z tego względu najbliższe spotkania mają olbrzymie znaczenie.

W przeciwieństwie do kilku ostatnich zgrupowań, gdy kadra przygotowywała się w Katowicach i Chorzowie, tym razem, po 8-miesięcznej przerwie, wracają do Warszawy.

Siedzibą kadry selekcjonera Jana Urbana tym razem będzie

hotel Tree Double by Hilton na Wawrze, a treningi będą odbywać się na PGE Narodowym.

Zbiórka zawodników przewidziana jest do godziny 18. We wtorek odbędzie się konferencja prasowa w hotelu. W środę i czwartek przewidziano treningi na Stadionie Narodowym, a w piątek o godzinie 20.45 mecz z liderem grupy - Holandią. Nazajutrz, w sobotę po południu, reprezentacja poleci na Malte, gdzie w niedzielę późnym popołudniem odbędzie oficjalny trening na arenie głównej Ta' Qali, na której w poniedziałek o godzinie 20.45 zagra z ostatnią drużyną grupy.

Urban ogłosił powołania na listopadowe zgrupowanie w piątkowe popołudnie, 7 listopada. Wśród powołanych znalazło się miejsce dla dwóch piłkarzy, którzy wywołali sensację - Filip Róžga i Krystin Szczeniak.

Trener drużyny narodowej wytłumaczył się ze swojego pociągnięcia: - Nie kreuję się na kogoś, kto przypisuje sobie zasługi, że prowadził jakiegoś zawodnika na początku jego kariery. Kiedy jednak mam na oku dwóch kandydatów



Tym razem kadra selekcjonera Jana Urbana odbędzie zgrupowanie w Warszawie

i waham się, którego wybrać, stawiam na tego, którego znam i wiem, czego się po nim spodziewać. W ekstraklasie i poza Polską gra wielu środkowych obrońców - byłoby z kogo wybrać. Może gdyby nie sytuacja z Przemkiem Wiśniewskim, to nie byłoby powołania dla Krystina? Nie chcieliśmy jed-

nak zostać z jednym, tylko zerwowym stoperem. Co nie zmienia faktu, że w ostatnim czasie Krystin grał dobrze i na prawej obronie i jako stoper. Zapewniam, że oglądamy innych kandydatów i chciałbym, żeby powołanie Krystina spowodowało ich mobilizację - powiedział.

Z kolei powołanie Róžgi, występującego od tego lata w Sturmie Graz, a wcześniej w Cracovii, Urban wyjaśnił: - Tym, że to dobry piłkarz, którego znam jeszcze z czasów gry w Cracovii. Zagraniczny transfer młodego zawodnika z naszej ligi często wiąże się z tym, że najpierw potrzebuje czasu, by za-

adaptować się w nowym środowisku. Przykładem jest Janek Ziółkowski. Szybko dostał szansę w Romie, ale teraz nie gra. Często podobnie działo się z innymi graczami, ale w ostatnim czasie Filip jest na fali wznoszącej. Dostawał coraz więcej minut i postawą zasłużył na powołanie.

© P

KADRA NA HOLANDIĘ I MALTE

Bramkarze: Bartłomiej Drągowski (Panathinaikos Ateny), Kamil Grabara (VfL Wolfsburg), Łukasz Skorupski (Bologna), Kacper Tobiasz (Legia Warszawa).

Obrońcy: Jan Bednarek (FC Porto), Matty Cash (Aston Villa Birmingham), Tomasz Kędziora (PAOK Saloniki), Jakub Kiwior (FC Porto), Krystin Szczeniak (Górnik Zabrze), Przemysław Wiśniewski (Spezia), Paweł Wszolek (Legia Warszawa), Jan Ziółkowski (AS Roma).

Pomocnicy: Kamil Grosicki (Pogoń Szczecin), Jakub Kamiński (1.FC Koeln), Bartosz Kapustka (Legia Warszawa), Kacper Kozłowski (Gaziantep FK), Filip Róžga (Sturm Graz), Michał Skóra (Gent), Bartosz Slisz (Atlanta United), Sebastian Szymański (Fenerbahce Stambu), Nicola Zalewski (Atalanta Bergamo), Piotr Zieliński (Inter Mediolan)

Napastnicy: Adam Buksa (Udinese), Robert Lewandowski (FC Barcelona), Krzysztof Piątek (Al-Duhail SC Doha), Karol Świdzki (Panathinaikos Ateny).

FOT. LUCYNA NENOW

Lech w Madrycie był gorszy we wszystkim. Na pocieszenie został lepszy stadion

Bartosz Głęb z Madrytu
redakcja@polskapress.pl

Lech Poznań w ubiegły czwartek otrzymał solidną lekcję piłki nożnej oraz pokory po tym, jak w negatywnym świetle jego pracownicy zaprezentowali obiekt Rayo Vallecano.

Może rzeczywiście - infrastrukturalnie - aktualny mistrz Polski jest na dużo wyższym poziomie, o tyle sportowo niestety sporo odstaje od średniaka ligi hiszpańskiej. Zresztą nie tylko „Kolejorz”, ale także pozostałe polskie zespoły zostały w Europie mocno sprawdzone na ziemię.

Oslabiona czujność

Ostatni czwartek całkowicie obnażył polskie kluby na arenie międzynarodowej. Eliminacje europejskich pucharów mocno osłabiły czujność zarówno kibiców, jak i chyba niestety samych piłkarzy, bo już w fazie ligowej z każdą kolejną nasze zespoły często wyglądają słabo, i to z zespołami, które nie stanowią o sile europejskiej piłki.

Lech Poznań nie jest tak dobry, jak pokazało okazało zwycięstwo z Rapidem Wie-

deń 4:1, ani tak słaby, jak w przy kompromitującej porażce z gibraltarskim Lincoln Red Imps FC.

W 3. kolejce fazy ligowej Ligi Konferencji aktualny mistrz Polski zmierzył się ze średniakiem hiszpańskiej La Liga - Rayo Vallecano. W Hiszpanii zarówno przed, jak i po spotkaniu zdecydowanie więcej mówiło się o kibolach poznańskiego klubu oraz o tym, jak polski klub przedstawił stadion Campo de Fútbol de Vallecas. W mediach społecznościowych „virałem” stało się wideo, na którym pracownik „Kolejorza” pokazuje, jak prezentuje się szatnia gości madryckiego obiektu.

- Sport jest po to, by łączyć, a nie po to, by nim pogardzać. Film był całkowicie błędny. Chcę jednak być wdzięczny, że dzisiaj nie doszło do żadnych incydentów: policja i nasza ochrona wykonały świetną robotę - powiedział po meczu prezes Rayo Vallecano Raúl Martín Presa.

Żałosny film

Dziennik „Marca”, podsumowując wizytę Lecha Poznań w Madrycie, napisał: „24 godziny szaleństwa w Vallecas: żałosny film, bitwa ultrasów, wojna domowa i eks-



Oficjalnie „Kolejorz” otrzymał 600 wejściówek - finalnie na meczu pojawiło się około tysiąca sympatyków Lecha

taza”. Polscy kibice w Hiszpanii nie są zbyt dobrze odbierani, a starcia kiboli „Kolejorza” i Rayo w noc poprzedzającą spotkanie jeszcze podkreśliło tę opinię.

„Według polskiej prokuratury ci kibice (otwarcie homofobiczni i antykomunistyczni) wykorzystują Hiszpanię nie tylko do piłki nożnej: uważają ją za centrum operacyjne importu kokainy i marihuany

do Polski” - napisano jeszcze przed meczem.

Centrum pełne policji

Starcie mistrza Polski z Rayo Vallecano zabezpieczyło 400 funkcjonariuszy policji. Już w dzień poprzedzający spotkanie na ulicach Madrytu widać było liczne patrole, a w dzień meczowy okolicę centrum były pełne policji. Hiszpanie starali się kon-

trolować fanów poznańskiej drużyny na jednym z madryckich placów, ale chyba nie spodziewali się, że będzie ich aż tak dużo. Oficjalnie „Kolejorz” otrzymał 600 wejściówek, ale z uwagi na problemy gospodarzy z ich sprzedażą dla własnych fanów kibice Lecha wykupywali bilety na sektory neutralne. Finalnie na meczu pojawiło się około tysiąca sympatyków mistrza Polski.

Polski... Alemão

Jeśli chodzi o samo spotkanie, na trybunach było czuć wściekłość i niedowierzanie, kiedy Lech Poznań strzelił pierwszego, a później drugiego gola. Lokalni fani nie dopuszczali do siebie myśli, że ich drużyna może mieć takie problemy z polską drużyną. Po zmianie stron gospodarze całkowicie zdominowali poznańców niemal w każdym aspekcie i zasłużenie zdołali odwrócić wynik spotkania na swoją korzyść.

W drugiej połowie spotkania wystąpił brazylijski napastnik z polskimi korzeniami o pseudonimie Alemão (Niemiec). Alexandre Zurawski, bo tak się nazywa, jest bacznie obserwowany przez sztab reprezentacji Polski. Selekcjoner Jan Urban nie ukrywa, że śle-

dzi poczynania 27-letniego snajpera.

Dzień po meczu temat rywalizacji w Lidze Konferencji był już praktycznie znikomy, a wszyscy zaczęli żyć zbliżającym się wielkimi krokami niedzielnym starciem z Realem Madryt. Gdy polskie kluby traktują Ligę Konferencji jako ogromne wyróżnienie, dla hiszpańskiego debiutanta znacznie ważniejsze są prestiżowe spotkania w rodzimej lidze.

Porażka Legii, remisy Jagiellonii i Rakowa

W odróżnieniu od Hiszpanii w Polsce szerokim echem odbiły się czwartkowe wyniki naszych drużyn w Lidze Konferencji. Nie tylko przecież Lech przegrał w słabym stylu. Porażkę zanotowała również Legia Warszawa (1:2) ze słoweńskim NK Celje.

Natomiast Jagiellonia Białystok i Raków Częstochowa swoje mecze zremisowały. Co prawda „Medaliki” wywalczyły punkt (0:0) w wyjazdowej rywalizacji z czeską Spartą Praga, o tyle Duma Podlasia (1:1) straciła 2 „oczka” z macedońską Skendiją Tetovo, z którą w teorii miała sobie łatwo poradzić...

© P

FOT. BARTOSZ GŁĘB

Piłkarstwo Kibice narzekają na istotny aspekt gry Oranje, ale...

HOLENDRZY MYŚLĄ O MUNDIALU

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

2022 - ćwierćfinał, 2018 - nieobecni, 2014 - 3. miejsce, 2010 - 2. miejsce, 2006 - 1/8 finału - tak Holandia zaprezentowała się w ostatnich pięciu mundialach.

Nawet tak silna nacja nie zakwalifikowała się na finały w Rosji, co bardzo zabolowało i wciąż działa na Holendrów jak przestroga. Mało realna jest zatem strata przez Oranje pierwszego miejsca w grupie eliminacji MŚ 2026 na rzecz Polski, ale piłkarze Ronalda Koemana traktują starcie z Białą-Czerwoną jak ważny sprawdzian przed przyszłorocznymi finałami.

Holandia ma niesamowity wybór zawodników w każdej formacji - mówi Andrzej Niedzielan, 19-krotny reprezentant Polski, który w latach 2004-2007 z powodzeniem występował w NEC Nijmegen i jest fanem holenderskiej myśli szkoleniowej.

Holendrzy na pewno pragną się zrewanżować Polsce za wrześnie wyremis w Rotterdamie, wtedy nasza kadra ich zaskoczyła. W gronie powołanych na spotkania z Polską i Litwą najbardziej brakuje wszechstronnego Teuna Koopmeinersa, który wywalczył niezłą pozycję w Juventusie - dodaje Jacek Pawelec, Polak od lat



- Holendrzy pragną rewanżu za remis w Rotterdamie...

mieszkający w Holandii, aktywny w środowisku piłkarskim.

Koopmeiners grał całe derby z Torino, a kilka dni wcześniej w pełnym wymiarze czasowym z Lidze Mistrzów ze Sportingiem Lizbona. W drużynie narodowej ma silną konkurencję, wygrany 4:0 mecz z Finlandią w październiku spędził na ławce, a w obecnych eliminacjach nie zaliczył nawet minuty. Z innego pominiętego w listopadzie zawodnika, Stefana de Vrija Koeman korzystał w walce o mundial 2026, ale 33-letni defensor, który w 2014 sięgnął po brąz mistrzostw świata (zagrał w nich 7 meczów na 7) w Serie A w Interze siedzi

na ławce, a trener Christian Chivu korzysta z niego ostatnio tylko w Lidze Mistrzów. W drużynie narodowej nie do ruszenia na środku obrony zostaje Virgil van Dijk z Liverpoolu, a u jego boku selekcjoner stawia ostatnio na Jurriena Timbera z Arsenalu. Personalnie obrona Oranje wygląda okazale, zarówno Denzel Dumfries (Inter) na prawej stronie, jak i Micky van de Ven (Tottenham) mają wartościowych dublerów.

Koeman ma swój pomysł na reprezentację i wprowadza do niej uczestników tegorocznych finałów Euro U-21 na Słowacji, gdzie Holandia pod wodzą Michaela Reizigera dotarła

do półfinału, eliminując Portugalię. Na debiut czeka golkeeper Robin Roefs, który latem przeniósł się za ponad 10 milionów euro z NEC Nijmegen do Sunderlandu i zbiera świetne recenzje w Premier League. Na razie w kadrze Oranje numerem jeden pozostaje Bart Verbruggen, mocno chwalony za występy w Brighton. Drugi na tę chwilę bramkarz - Mark Flekken bardzo dobrze radzi sobie w Bayerze Leverkusen, gdzie przeniósł się po dwóch dobrych sezonach w Brentford.

Jeżeli ostatnio rezerwowym jest Nathan Ake z Manchesteru City, a z samego powołania cieszy się Matthijs de Ligt z Manchesteru United to nie trzeba chyba komentować, jak mocną linią defensywy dysponują Holendrzy. Kibice wymagają jednak więcej przede wszystkim w ofensywie - tłumaczy Pawelec.

Słychać głosy krytyczne na temat gry w ataku, choć - uważa - w tym roku Holandia strzeliła w 8 spotkaniach 27 goli, z czego w dwumeczu Ligi Narodów Hiszpanii aż 5. Z Furia Roja ludzie Koemana przegrali tylko konkurs karnych, a z powołanych na Polskę i Litwę zawodników Memphis Depay (Corinthians) ma 54 gole w drużynie narodowej, Cody Gakpo (Liverpool) 18, Wout Weghorst (Ajax) 14, Donyell Malen (Aston Villa) 12, a obrońcy van Dijk i Dumfries po 11.

A kibice i tak narzekają... ©P

dują, że może. Jeśli oczywiście zechce nadal starać się o zwycięstwa, a tenis będzie sprawiał jej radość. Problem w tym, że właśnie uśmiech i zadowolenie to towary mocno deficytowe u naszej mistrzyni w ostatnim czasie. Świątek brakuje luzu nie tylko na korcie, w sposób niezrozumiały i zaskakujący spina się zarówno po świetnych zagraniach rywalek, jak i - częściej nawet - po pytaniach reporterów. Czasami dziwnych i niepotrzebnych, ale bywa, że również po merytorycznych, po przegranych meczach wręcz oczywistych.

OK, nie każdy musi być lwem salonowym i mistrzem ciętej riposty, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że ktoś zaniedbał ten element „warsztatu” Świątek. Iga zamiast korzystać wciąż dziewczęcego uroku i szukać zartobliwych point, puszy się, irytuje, nawet obraża; ewidentnie ma „krótki lont”. Tak jakby brakowało jej pewności siebie, a utrata tego stanu na korcie w Rijadzie powodowała wręcz paraliż. W sytuacjach, kiedy Jelena czy Amanda zaczynały odbijać lepiej od reprezentantki Pol-

ski, nasza królowa kortów stawała nierzadko sparaliżowana. Nie analizowała szybko sytuacji, nie potrafiła wdrożyć planu B (pytanie, czy w ogóle go miała), zaczynała słabiej czytać grę, gorzej biegać, podejmowała coraz mniej trafne decyzje. Momentami naprawdę przykro było patrzeć na tę bezradność...

Jaki z tego wniosek? Otóż jedyny sensowny jest taki, że Iga powinna pójść do... psychologa. Tak, tak, tyle że konieczne (!) do innego niż Daria Abramowicz, która pracuje ze Świątek na co dzień. W poszukiwaniu innego, skutecznego bodźca, który uzdrowi jej mental. Bo dziś (czytaj: w Rijadzie) nasza mistrzyni wyglądała na zmęczoną, przede wszystkim psychicznie. A wydaje się, że jeżeli ta zabawa ma nadal mieć sens, to powinna dawać tenisistce z Raszyna radość. W przeciwnym przypadku może zakończyć się - jak u Ashleigh Barty, która z kortem i rakiętą rozstała się w wieku niespełna 26 lat jako numer jeden rankingu WTA - przedwczesnym wypaleniem zawodowym...

Polska
Poniedziałek, 10.11.2025

Pierwsza kobieta, drugi mężczyzna. I rekordy kraju

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Zespół AF Corse, którego kierownicą jest Robert Kubica (Ferrari 499P), zajął 5. miejsce w ostatniej rundzie wyścigowych mistrzostw świata World Endurance Championship (WEC) w Bahrajnie.

Tym samym Polak zapewnił sobie tytuł wicemistrzowski w najbardziej prestiżowej kategorii Hypercar. Partnerami Roberta Kubicy w sezonie 2025 w mistrzostwach świata WEC byli Chińczyk Yifey Ye i Brytyjczyk Phil Hanson.

Wyniki 8-godzinnej wyścigu na torze „Bahrain International Circuit-Sakhir” sprawiły, że Ferrari zaliczyło idealny sezon w WEC.

Robert Kubica - wraz z załogą numer 83 - wygrał czerwcowy, najbardziej prestiżowy wyścig 24h Le Mans, załoga numer 51 zdobyła mistrzostwo świata, a Włosi jako marka okazali się najlepszym producentem.

Rekord Polski

Podczas zawodów kontrolnych w Salt Lake City (USA), niepełna tydzień przed rozpoczęciem Pucharu Świata sezonu 2024/2025 w łyżwiarstwie szybkim, Marek Kania czasem 34,01s pobił o 0,06 sekundy rekord Polski na dystansie 500 metrów. Dotychczas najlepszy wynik w kraju należał od 26 stycznia tego roku do Damiana Żurka.

Już w najbliższy piątek nasza reprezentacja rozpocznie rywalizację w najbardziej prestiżowym cyklu, a tym razem stawką będą nie tylko punkty do klasyfikacji generalnej „2025-26 ISU Speed Skating World Cup”, ale też kwalifikacje do przyszłorocznym, XXV Zimow-

wych Igrzysk Olimpijskich, których gospodarzem będą Mediolan i Cortina d'Ampezzo.

Marek Kania wygrał zawody „Beehive Burn” na dystansie 500 metrów, a piątą był Damian Żurek - 34,40 s.

Na nieolimpijskim dystansie 3000 metrów dobrze zaprezentował się Władimir Semirunnij, który czasem 3:38,73 s pobił rekord Polski. Pierwsza z czterech rund Pucharu Świata, które zdecydują o kwalifikacjach olimpijskich, odbędzie się 14-16 listopada na tym samym torze w Salt Lake City. Kolejne zaplanowane są w kanadyjskim Calgary (21-23 listopada), holenderskim Heerenveen (5-7 grudnia) i norweskim Hamar (12-14 grudnia).

Pierwsza kobieta

Hanna Wawrowska została wybrana na 4-letnią kadencję na wiceprzewodniczącą Międzynarodowego Komitetu Fair Play przy Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim. Nigdy kobieta nie pełniła tak ważnej funkcji w tym gremium...

Zwycięzcy rugbyści

Polscy rugbyści odnieśli drugie zwycięstwo w Rugby Europe Trophy, pokonując zdecydowanie w Siedlcach beniaminka rozgrywek - Danię 47:6. Wcześniej odprawili w Szawłach Litwinów 41:8, natomiast ekipa z Półwyspu Jutlandzkiego uległa w Markarskiej Chorwacji 26:36.

Był to szósty mecz tych reprezentacji, ale poprzedni odbył się 24 lata temu. Białą-Czerwoną zanotowali piąty triumf. W poprzedniej edycji „RET”, niemal równo rok temu, nasi rugbyści triumfowali w Pradze 22:15.

©P

Adam Godlewski

„Krótka piłka”



GDZIE PODZIAŁA SIĘ RADOŚĆ IGI?

Iga Świątek jest prawdopodobnie najlepszym polskim sportowcem, bez podziału na płęć i dyscypliny, w historii. Wygrała turnieje - również wielkoszlemowe - na wszystkich nawierzchniach i ma prawo czuć się spełniona na korcie. Sukces sportowy, w szczególności praktykowanej pod każdą szerokością geograficzną, niezwykle popularnej i prestiżowej zarazem, zapoczątkował oczywiście sukcesem finansowym. W efekcie zawodniczka z Raszyna jest ustawiona na kilka następnych pokoleń. I tego nikt już jej nie odbierze.

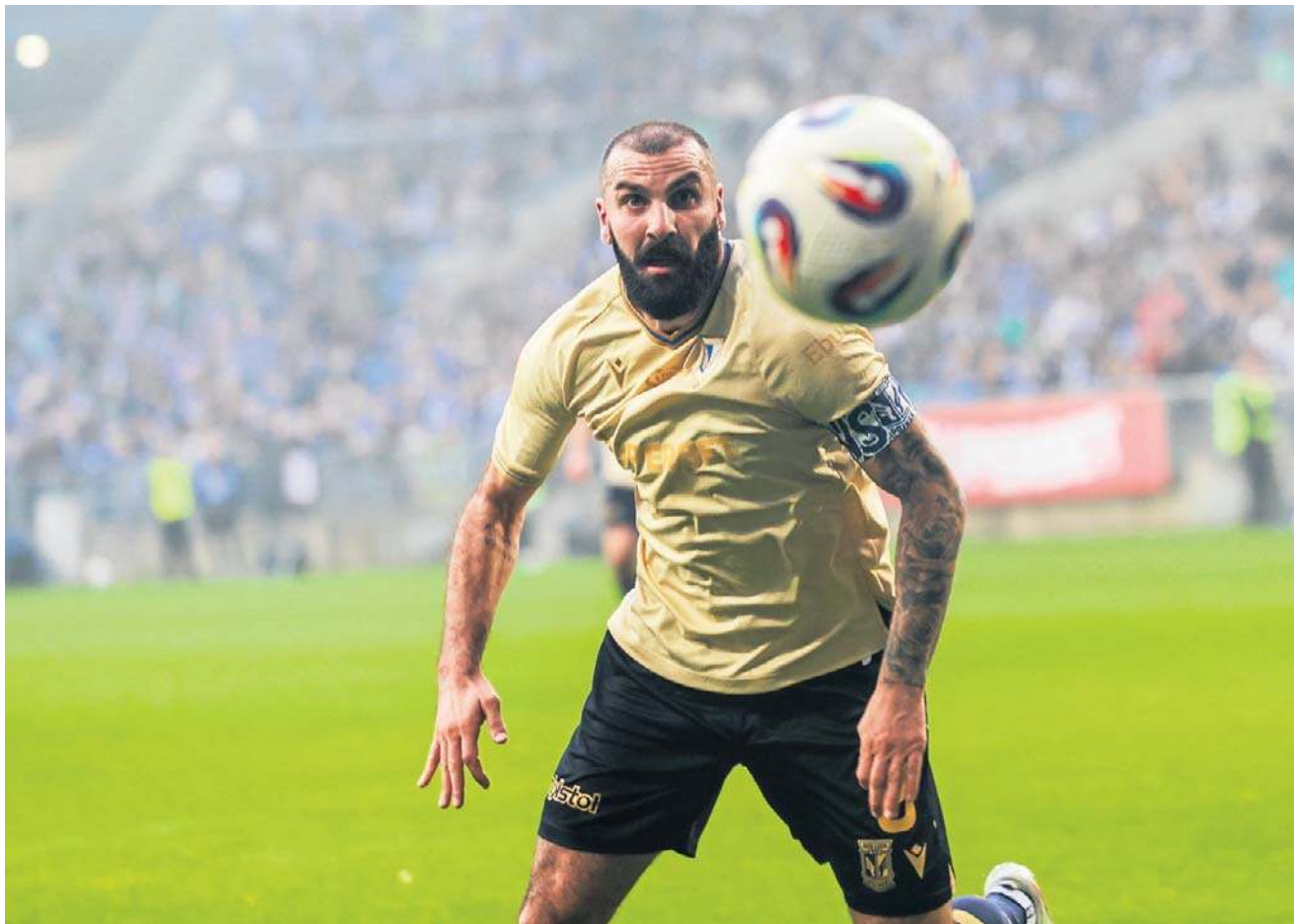
Oczywiście, Iga nie jest robotem i nie będzie wygrywała wszystkiego, występy takie jak

podczas zakończonych w weekend triumfem Jeleny Rybakiny WTA Finals są w kalkulowane w karierę zawodowego tenisisty. Wahania formy są naturalne - niczym zmieniające się pory roku - w napiętym i długim cyklu turniejów w każdym sezonie. Pytanie jednak, czy Iga musi przegrywać w stylu, w jakim poległa z Rybakiną, a potem z Amandą Anisimową w Rijadzie, jest już jednak uprawnione. I postawić je powinna - sobie i najbliższym współpracownikom - sama Świątek.

W sytuacji, na jaką sobie zapracowała, Iga nie tylko może, ale wręcz powinna bawić się teraz tenisem. Ona już nic nie musi, liczba wygranych tytułów i zgromadzony majątek powo-



Dla naszego najlepszego kierowcy wyścigowego, Roberta Kubicy, to kolejny sukces w karierze



FOT. ADAM JASTRZEBOWSKI

Sławomir Majak: Może po prostu Lechowi brakuje jakości? Ishak nie dostaje takiego wsparcia, jakie powinien

Wywiad tygodnia Rozmowa ze Sławomirem Majakiem, 22-krotnym reprezentantem Polski, dziś trenerem III-ligowej Siarki Tarnobrzeg

Rozmawiał Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

W 1997 roku był uznany najlepszym piłkarzem Polski, z Widzewem zdobył mistrzostwo, zagrał w Lidze Mistrzów. A to tylko krajowy rozdział kariery, bo posmakował też futbolu zagranicznego.

W barwach Hansy Rostock wspaniale spisywał się w niemieckiej Bundeslidze, z Anorthosis Famagusta dwa razy sięgnął po Puchar Cypru. I taka perspektywa pozwala Majakowi kompleksowo spojrzeć na obecne realia naszej piłki.

Kwartet polskich klubów zdobył łącznie dwa punkty w trzeciej kolejce Ligi Konferencji UEFA. To kubał zimnej wody na rozbudzone apetyty?

Sławomir Majak: Biorąc pod uwagę poprzedni sezon, kiedy Legia i Jagiellonia zameldowały się w ćwierćfinałach tych rozgrywek, to ostatnie wyniki naszych klubów należy rzeczywiście odbierać w kategorii rozczarowania. Dobrze, że podopieczni Adriana Siemienia uratowali remis w ostatniej chwili, bo byłoby jeszcze gorzej. Coś jest nie tak w funkcjonowaniu zespołów Lecha i Legii; jedni i drudzy prowadzili, ale wrócili do Polski bez punktów. Raków zremisował, to niezły wynik

Sławomir Majak: W polskich klubach nie ma gwiazd. To problem

na Sparcie, która była w tym spotkaniu lepszą drużyną.

Dlaczego Lech tak łatwo traci gole?

Z Motorem 2:2, wcześniej kompromitacja w Gibraltarze z Lincolnem - porażka 1:2, do tego dodajmy szczęśliwą wygraną z Gryfem w Słupsku w Pucharze Polski, no i nieszczęsna druga część z Rayo... Problem wygląda poważnie, słyszałem, że posada trenera „Kolejorza” jest zagrożona. A może po prostu na niektórych pozycjach Lechowi brakuje jakości? Ishak, który dla poznańskiego zespołu strzelił mnóstwo goli, nie dostaje takiego wsparcia, jakie powinien. Tu wspominałem o ofensywie, w defensywie liczby mówią same za siebie. Łatwość tracenia goli przez

mistrzów Polski przeraża. Legia też łatwo dała sobie odebrać wygraną w Słowenii, gdzie zmarnowała kilka kapitalnych okazji przy prowadzeniu i potem wykazała się pasywnością w tyłach. Frustracja jej kibiców była ogromna. I uzasadniona.

W obecnej Legii nie ma takich gwiazd, jak w latach 90.?

Kiedy ja grałem w Widzewie, to my i Legia mieliśmy w składzie ważnych reprezentantów Polski. Potem do naszej ligi zjechało się wielu obcokrajowców, ale z nich grona czołowe polskie kluby potrafiły wyławiać, a czasami kreować gwiazdy. Nawet później - przecież w Legii świetnie zagospodarowano Danijela Ljuboje, Miro Radovicia czy Vadisa Odidję-Ofoe. Za moich

czasów Widzew miał jako obcokrajowca Andrzeja Michalczyka, który zasymilował się z Polską, był jeszcze Mołdawianin Alexander Curtian. Przypominam sobie ostatni skład Legii z Ligi Mistrzów - w środku pola tytaniczną pracę wykonywali Chorwat Ivica Vrdoljak i Tomasz Jodłowiec, dziś nie ma zawodników tej klasy w drużynie, którą po Edwardzie Iordanescu przejął Inaki Astiz. Nie tylko ja zastanawiam się, dlaczego niektórzy zawodnicy grają

W reprezentacji Jana Urbana jest spokój, dobry kontakt selekcjonera z szatnią, pojawiły się lepsze wyniki

w Legii: być może mają operatywnych menedżerów, bo na pewno sportowo są słabi. Polska piłka klubowa rozwija się, to fakt, ale mogłoby - ba, powinno - następować to szybciej. Jest piękna infrastruktura, otoczka, zainteresowanie kibiców, ale za dużo kasy płaci się kiepskim zawodnikom. Nie ma też takich charakterów, jak kiedyś; kolorowe ręczniki w szatni Lecha dały mi dużo do myślenia. Piłkarzom jest za dobrze, a jak już przed meczami nawet na europejskiej arenie, wychodząc na boisko, czują się zwycięzcami, kończy się tak jak dla Lecha w Gibraltarze. Pokora, panowie, pokora.

Pokora wróciła do reprezentacji Polski z Janem Urbaniem?

Jest spokój, dobry kontakt selekcjonera z szatnią, pojawiły się lepsze wyniki. Trener szuka nowych zawodników; teraz sięgnął po Kryspina Szcześniaka, pojawiły się krytyczne głosy, ale taka praca. Jej efekty poznaje się już na boisku. Jesteśmy w grze o mundial, pewnie zagramy w barażach.

Serce bije mocniej, gdy oglądasz mecze reprezentacji Polski?

Zawsze. Zagrałem 22 spotkania w kadrze seniorów, z czego 21 dobrych - troszkę dodaję z dystansem, że żałuję, iż nie strzeliłem gola, nie awansowałem do wielkiego turnieju, lecz i tak jestem dumny. Grałem w mistrzowskiej drużynie Widzewa, w Bundeslidze, lecz reprezentacja Polski to zupełnie inny wymiar, inna odpowiedzialność, wyjątkowy zaszczyt. Dziś piłkarze mają Ligę Narodów, poszerzone rozgrywki finałowe o tytuł mistrza Europy i świata; kiedyś tak nie było, więc swoje 22 występy mogę uważać za duże osiągnięcie. Czasy się zmieniają: ponad 20 lat temu w Pucharze Polski grało się, by go rozegrać, nie było tego, co obecnie. Hamowała nas infrastruktura, dziś to naprawdę pięknie wygląda. Obejrzałem niedawno spotkanie Widzewa z Zagłębiem Lubin; grałem w obu klubach i byłem ciekawy rezultatu i w ogóle przebiegu. Widzew zwyciężył po kuriozalnym голу i gra dalej. W 1/8 finału przyjdzie mu się zmierzyć z Pogonią w Szczecinie i obie ekipy zrobią wszystko, ba - staną na głowie - by przejść dalej. Każdy chce się dostać do finału na Stadion Narodowy. A co my mieliśmy? Finały co roku gdzie indziej, często przy beznadziejnej oprawie, a i zadymy nie tyle się zdarzały, co były na porządku dziennym.

Frekwencja na polskich stadionach Cię dziwi?

Znakomita infrastruktura robi swoje, jest moda na chodzenie na futbol, na stadionach jest bezpiecznie. Widzew na frekwencję nie narzekał od dawna, kibice są z tym klubem na dobre i złe, tak jak z Hansą Rostock, gdzie spędziłem wspaniały czas. W innych kwestiach idziemy do przodu zbyt wolno, o szkoleniu lepiej nie wspominać. Mówi się, co i jak należy robić, ale się tego nie robi. Liczę, że to się zmieni, bo mamy sporo talentów. Jurek Brzęczek wziął młodzieżówkę i okazuje się, że można grać pięknie w piłkę - chłopaki roznieśli Szwedów 5:0, a niedługo czeka ich w Szczecinie egzamin z Włochami. Jestem bardzo ciekawy, jak to wyjdzie. Liczę, że więcej naszych zacznie znów pojawiać się w Bundeslidze. Kiedyś byliśmy mocni w Niemczech, niemal co kolejkę witałem się z rodakiem. Dziś tylko Jakub Kamiński w FC Köln pracuje na pozycję gwiazdy. Wiele naszych talentów odbija się od mocnych lig zagranicznych, bo nie dojeżdża mentalnie. Przyjeżdżają, zderzają się ze ścianą i... muszą wracać.

Wróciłeś do Siarki Tarnobrzeg. Ciężko pracuje się w trzeciej lidze?

Sytuacja finansowa i organizacyjna klubu się poprawia, wszyscy starają się, by było lepiej, ja buduję zespół, idzie nam całkiem nieźle w mocnej grupie trzeciej ligi. KSZO Ostrowiec, Chełmianka, Avia Świdnik nie ukrywają aspiracji, to są bardzo dobrze poukładane kluby. Więcej spodziewałem się po beniaminkach, ale Stal Kraśnik, w której niedawno grał Kuba Rzeźniczak, znajduje się na krawędzi bankructwa, a w Sparcie Kazimierza Wielka po odejściu prezesa Grzegorza Domały rozsypany się zespół. Mieli mocne nazwiska: Tomasz Jodłowiec, Maciej Sadłoka, zrobiło się głośno, ale ktoś się z kimś poróżnił i sen się skończył... Każdy szuka różnych sposobów na wyjście z kryzysu, ale ogłoszenie o poszukiwaniu piłkarzy w trakcie rundy jesiennej wygląda - powiedzmy - co najmniej dziwnie. Szkoda mi tej Sparty, szkoda, że nie zawsze ludzie, którzy chcą inwestować w polską piłkę, trafiają na podatny grunt. To są jednak skrajne przypadki, bo generalnie na tym szczeblu są coraz większe pieniądze, perspektywy, ambicje. Jak w Ząbkach, Łomży, Polkowicach, Lechii Zielona Góra, Sparcie Katowice. Niektórzy bazują na sponsorach, inni na samorządach, ale na pewno można być pewnym jednego: w piłkę można warto inwestować, bo emocje są bezcenne. ©©

MAGAZYN

SPORTOWY24

Piłkarska reprezentacja Polski prowadzona przez Jana Urbana rozpoczyna zgrupowanie przed meczami kwalifikacji mistrzostw świata STR. 21



FOT. GRZEGORZ WAJDA - ROTTERDAM

Czekamy na udany rewanż z Holandią

**WYWIAD TYGODNIA
ZE SŁAWOMIREM
MAJAKIEM: - W LIDZE
BRAKUJE GWIAZD...
STR. 23**

**Iga Świątek zatraciła
radość z gry. W jaki
sposób powinna
odbudować mental?
STR. 22**

**Zaskakująca porażka
liderującego Górnika
i przełamanie Piasta
w PKO Ekstraklasie
STR. 20**